№ 30. Piątek, dnia 23 Kwietnia 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

WARSZAWA dnia 11 (23) Kwietnia 1875 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
„ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Bielańskiej Nr 8 nowy.

NA CMENTARZU.

WSPOMNIENIU ZMARŁEJ CÓRECZKI SWOJEJ
POŚWIĘCA
Bogumił Aspis.

(Ciąg dalszy).

Milczysz!... przywykłeś milczeć!... wszystko
[Ci też jedno,
Że tam gdzieś człek samotny, patrząc
[w grobek mały,
Skarży się,—że mu nieba nieprawnie za-
[brały
Jego skarb... i bluźnierstwem kala duszę
[biedną!
O! czemużem zapomniał o Tobie, i o tem,
Kim Ty jesteś,—gdy, ciesząc się moją pie-
[szczotką,
Łudziłem się snać mrzonką... grzeszną... choć
[ach! słodką, —
Że śmierć nas swoim nigdy nie dosięgnie
[grotem!?

VII.

Trzech mędrców, którym ludzie powierzają
[życie, —
Trzech doktorów wciąż stało nad twoją ko-
[łyską
I radzili—radzili... wyrabiali wszystko,
Co tylko mi cię mogło tu zgubić o dzie-
[cię!
Nie przyszedł nikt, nikt,—coby, wpatrzyw-
[szy się we mnie
I widząc, że bez ciebie ja ach!.. żyć nie mo-
[gę,—
Chytrej śmierci fortelem jakim zaszedł
[drogę
I—spłoszył ją... O, takich czekałem dare-
[mnie!
Natomiast... gdyś umarła,—to wpadł po-
[kryjomu
Cały tłum zaraz ludzi... Z rąk mi cię wyr-
[wali—
Ponieśli tu—w grób zimny, w piasek zako-
[pali—
I poszli!... A ja ciebie precz szukam po domu!
Gdzie jesteś?—pytam krzyża, co ot niemy
[stoi,
Gdzie jesteś?— pytam nocy, co szemrze
[dokoła,
Gdzie jesteś!? pytam w górze Litości Anioła,
Co dzieli ze mną stypę tej boleści mojej...
Wszystko milczy!... Ach wszystko, — jak
[gdyby się śmiało
Tylko z biedy rodzica... co stracił cię prze-
[cie,
Patrzy zimno—i niemasz nikogo na świecie,
Coby chciał tym łzom moim poradzić...
[choć mało!...

(*D. c. n.*)

SŁÓWKO
o korespondencyach z prowincyi.

(K. J.) Wiadomo każdemu jak ważne zadanie ma do spełnienia prasa peryodyczna. Ona to jako głos społeczeństwa i wyraz opinii publicznej, pilnie baczyć powinna, aby potrzeby ogółu ujawnić, dobrym czynom nieść słowo uznania i zachęty, złe gromić, a przeciw niedostatkom i brakom środki zaradcze podawać. Ażeby zaś prasa stanęła na wysokości swego zadania powinna przedewszystkiem znać dobrze społeczeństwo, w imieniu którego przemawia. Każdy objaw życia społecznego, bądź to dodatnej bądź ujemnej natury, bez względu na to czy miał miejsce w ognisku społecznego ruchu—czy też w najodleglejszym zakątku kraju, nie powinien przejść niepostrzeżenie, lecz powinien zostać ujawnionym na kartach spisywanej przez prasę kroniki. Takie bowiem notowanie wszelkich drgań społecznego życia daje prawdziwy obraz pewnej społeczności w danej chwili i przedstawia się jako obfity materyał, z którego można wyprowadzać wnioski o stanie moralności, oświaty, dobrobytu materyalnego okolicy—i o stopniu rozwoju jej mieszkańców na drodze społecznego życia.

Pod tym względem najlepsze chęci i największe usiłowania redakcyi nie wiele zdziałać mogą — a organ wydawany, dajmy na to w Warszawie nie może zgromadzić wiadomości z najodleglejszych zakątków—gdyż bez spółudziału ogółu jest to po prostu niepodobieństwem. Tego właśnie spółudziału i poparcia należałoby spodziewać się ze strony myślących jednostek, które koleją losu rzucone zostały na tak zwane *partykularze* czyli te zakątki naszych okolic, które z przyczyny odległości i utrudnionych środków komunikacyjnych, żyją w pewnem odosobnieniu i pozostają w tyle w wielkim i nieustającym pochodzie ludzkości ku lepszemu, ku oświacie i postępowi.

W organach prasy peryodycznej rubryki korespondencyi prowincyonalnych są nader ważne i to ważne z niejednego względu.

Dając obraz życia prowincyonalnego kreślą jego złe i dobre strony są niejako diagnozą wadliwości jego, a tem samem pozwalają obmyśleć i przedsęwziąć środki celem zapobieżenia złemu. Dają możność podniesienia tego co na pochwałę zasługuje i stawiania za wzór do naśladowania innym okolicom.

Żeby zaś korespondencya była dobrą, to jest żeby odpowiadała swemu celowi potrzebuje mieć następujące warunki: przedewszystkiem korespondent powinien znać dobrze zakątek o którym pisze; po drugie, powinien notować wszystko co z życiem społecznem ma związek; potrzecie nakoniec, powinien być bezstronnym i wolnym od wszelkich koteryjnych małostek, w które tak obfitują wszystkie zakątki naszej ziemi.

Zanim zastanowimy się nad pytaniem czy możemy mieć dobrych korespondentów, rzućmy okiem na owe listy z różnych stron nadsyłane i umieszczane w pismach, i zobaczmy o ile one odpowiadają tym warunkom, których słusznie mamy prawo wymagać.

Na brak korespondentów w ogóle uskarżać się nie można. Jest ich dosyć a z niektórych stron, bodaj czy nie zawiele... Każde prawie pismo zamieszcza od czasu do czasu jakiś list z prowincyi, lub coś podobnego.

Gazety codzienne mają nawet w większych miastach kosrespondentów stałych, jednem słowem rubryki korespondencyi pustkami nie świecą i bywają zapełniane.

Przywiodłszy sobie jednak na pamięć wszystko co nam się zdarzyło w tym rodzaju przeczytać, musimy przyznać, że pomiędzy tą znaczną ilością, jest niestety bardzo mało takich korespondencyi, któreby za dobre i celowi odpowiadające uznać było można.

Odtrąciwszy więc z tej masy pewien bardzo niewielki procent, widzimy, iż pozostałe rażą przewlekłą i niepotrzebną frazeologią i brakiem jędrnej treści; lub też będąc wyrazem opinii jakichś stronnictw i koteryjek przechodzą częstokroć w utarczki polemiczne mające za cel nietyle wyjaśnienie prawdy, ile przypięcie łatki bliźniemu należącemu do prze-

ciwnego obozu; alboli też grzeszą zupełnym brakiem znajomości okolicy i jej potrzeb, przekręcaniem faktów lub wystawianiem takowych w fałszywem świetle. A ileż to razy jeden korespondent zbija to co napisał drugi, ileż razy zdarza się, że pismo, którego dobrej wiary nadużyto, musi później odwoływać jakąś fałszywą wieść przez korespondenta zakomunikowaną.

Wszystkie te objawy, rzucające się w oczy każdemu kogo prasa krajowa obchodzi, nie przedstawiają w korzystnem świetle korespondencyi prowincyonalnych, lecz przeciwnie, wykazują w nich wiele elementów ujemnych nieznajomości stosunków miejscowych, w wysokim stopniu niedbałego traktowania przedmiotu, skwapliwego podawania faktów niesprawdzonych u źródła, przekręconych lub niekiedy zupełnie fałszywych. Czasem bywa nawet, że korespondent gościnnych szpalt dziennika używa jako broni dla swych prywatnych małostek, jako środka, którym może dokuczyć nienawistnej sobie osobie, strzelając do niej z za płota, to jest ukrywając się pod anonimem lub pseudoninem.

Zdaje się, że w podobnych, często zdarzających się wypadkach, wina nie leży po stronie redakcyi, boć ta niema możności sprawdzenia faktów na miejscu i przyjmuje to, co jej korespondent nadsyła.

W obec tak niepochlebnego obrazu korespondencyi prowincyonalnych, nasuwa się pytanie czy jest rzeczą możliwą, aby organy prasy peryodycznej posiadały korespondencye dobre.

Odpowiadamy na to stanowczo, że jest. Bo jakkolwiek dużo mówią i piszą o ciemnocie i zacofaniu mieszkańców partykularzy, o obojętności dla spraw społecznych, jakkolwiek szeroko i powszechnie o tem powiadają, nie podobna jednak przypuścić, żeby chociaż w najodleglejszym zakątku kraju nie istniało, jakieś indywiduum zdolne do zanotowania faktów i skreślenia obrazka chwili obecnej swojego kącika. I nietylko, że niema powodu przypuszczać, że są zakątki w których takie indywidua nie istnieją, lecz przeciwnie jest wszelka racya utrzymywać, że takich zakątków nie ma. Bo jeżeli za jednostkę drobnych kółek społecznych będziemy uważali powiat, toć i tam są przecież duchowni, lekarze, aptekarze, technicy, urzędnicy, kilku inteligentnych ziemian, wreszcie nauczyciele elementarni, jednem słowem, są ludzie, którzy z powołania lub ze stanowiska swego, muszą posiadać pewną inteligencyą i oświatę, i mogą mieć trzeźwy pogląd na sprawy swego zaścianka. Ludzie ci nie mogą nie wiedzieć co się koło nich dzieje, gdyż tam faktów szukać nie potrzeba; w małym promieniu okolicy w której żyją wszystko jest widoczne, wszystko jak na dłoni, tak że trzeba być chyba i głuchym i ślepym, żeby tych drgań życia nie dostrzedz.

Ludzie o których mówimy, stojąc u steru inteligencyi miejscowej, mają ciągłe i nieustanne zetknięcie się z ludem, widzą jego potrzeby, dotykalnie namacać je mogą. Od tych ludzi wychodzą inicyatywy wszelkich czynów zbiorowemi siłami dla dobra ogólnego podjętych.

Któż więc bardziej od nich może być świadomym tych potrzeb, kto lepiej od nich potrafi skreślić prawdziwy obraz owych maleńkich społeczeństw, w których żyją ludzie ubożsi duchem, ale bogatsi sercem i moralnością?

Mylą się tacy, którzy utrzymują, że nie ma o czem pisać z miasteczek, że tam wszystko idzie zwykłym monotonnym trybem, wszystko odbywa się zawsze jednakowo, życie płynie jak cichy, spokojny strumień, bez szumu, bez wezbrań i opadań. Mylą się ci, co powiadają, że tam nie ma nic coby na powszechną zasługiwało uwagę. Tak nie jest. Gdzie są ludzie tam jest i życie, a jakie jest to życie, o tem wiedzieć się godzi, bo tym tylko sposobem jawności, jedni mają możność sądzenia o drugich, a ci do których to należy, mogą poznać potrzeby, odkryć wady i podać środki zaradcze.

Jeżeli więc jest komu pisać, jeżeli jest o czem pisać, nasuwa się pytanie dla czego nie piszą? lub jeżeli piszą, to czemu ich słowa nie są takie jakiemi być powinny?

Odpowiedź na to bardzo łatwa i prosta. Widać że jeszcze społeczeństwo nasze nie poczuło potrzeby owej jawności, o której mówiliśmy w tem miejscu, widać że ci którzyby mogli przemawiać w imieniu swych kółek, są zanadto obojętni i nie biorą do serca tycho, bowiązków, jakie względem społeczeństwa swego zaciągnęli.

Widać żeśmy jeszcze za młodzi

Czas by już, czas wielki panowie luminarze prowincyi, zaprzestać na czas niejaki preferansowych i bezikowych turniejów, a spojrzeć w koło siebie i zająć się sprawami tego społeczeństwa, które was wychowało i którego chleb jecie. Społeczeństwo ma prawo żądać od was tego, jesteście jego dłużnikami, a dług to honorowy, który wasze własne sumienie wyegzekwować powinno.

Gdy ten błogi zwrót nastąpi, a inteligencya prowincyonalna będzie się interesowała sprawami swoich zakątków, wtenczas postać rzeczy zmieni się na korzyść i będziemy mieli korespondencye z prowincyi takie, jakiemi chciałby je widzieć każdy, kogo własne społeczeństwo obchodzi.

Znakomici mężowie i kobiety W POLSCE od X-go do XII-go wieku.

szkicował

ERNEST ŚWIEŻAWSKI.

(Dalszy ciąg)

Gallus kronikarz o położeniu tejże wiejskiej ludności w tejże samej epoce mówiąc, jako zaletę Chrobrego podnosi, że gdy miał obmyślone naprzód stanowisko, na odpoczynek w podróży i potrzebne wygody, po zamkach swych lub miastach, w nich zawsze stawał, nie zaś na polach lub pod namiotem. Przejeżdżając z jednej gminy do drugiej, od granicy brał właściwe podwody i osoby służebne, odsyłając do domów mieszkańców gminy opuszczonej. Na jego zaś widok, czy to pędzący drogą trzodę, czy pracujący nią w polu, wołow lub owiec niechował, ale do przejeżdzającego bogaty i ubogi uśmiechał się, i aby go oglądać cały lud się zbiegał.

Z tego obrazka wybierając rysy zaprzeczone, przekonamy się, że Gallus *za zasługę* poczytywał Bolesławowi-Magnusowi *rzetelny pobór* należnych mu z gmin usług i danin. Snać w wieku XII (kiedy pisał Gallus) lubo „stan" był wskazany w grodzie lub t. p. miejscu, i stosowne po temu ciężary cała gmina ponosiła—jednakże panujący noclegami i spoczynkiem na polu niszczyli zasiewy, budowlą chwilowych schronień przymnażali już odbytej w innej formie daniny gminom. Tożsamo miało miejsce z dalekiem uprowadzeniem koni, wozów, ludzi pod przejazd monarchy, oraz zaborem bydła na kuchnią książęcą, już raz pobranego pod nazwą berny, krowy, owcy, barana, narzazu i t. d.

Uczty, o jakich wyprawianiu grodzianom i mieszczanom przez delegatów Bolesława wspomina Gallus, wypada uważać za powrócenie gminom ich ofiar, za zużycie przez samych kontrybuentów: nagromadzonych dla panującego a niespożytych przez tegoż danin w naturze. Gallus tu może tylko wskazywał

Z KRONIKI DWUTYGODNIOWEJ.

— W ciągu przeszłego tygodnia, mieliśmy cztery wypadki obsunięcia się fundamentów, spękania murów, a nawet jeden bardzo smutny w swoich następstwach wypadek zawalenia się całej części nowo wznoszonej przy ulicy Dzielnej trzypiętrowej oficyny.

O ile trzy poprzednie wypadki, jakkolwiek dość źle mówiące o sposobie budowania u nas nowych kamienic, były jeszcze możliwe do usprawiedliwienia—o tyle ostatni wypadek bardzo niekorzystne światło rzuca tak na mularzy, jak i na budowniczych, pod których dozorem budowle stawiane były. Chcieć za małą cenę postawić kamienicę, nie jest jeszcze grzechem; ale dowodem wielkiej niesumienności jest zgodzenie się tych, od których mamy prawo domagać się rzetelnego postępowania, na budowanie domu za pieniądze, za które ani odpowiedniej dobroci materyału nie można kupić, ani też zapewnić ścianom dostatecznej siły, dla utrzymania trzech pięter. Oficyna o której mowa, budowaną była z wielkim pośpiechem, gdyż prawie do końca Grudnia mularze pracowali do późnej nocy—nie bacząc na mróz i na wątpliwą trwałość tak gorączkowej roboty; wzniesione w takich warunkach ściany, których trwałość osłabiała oprócz nie dobrych cegieł, wilgoć—nie mogły wytrzymać zbyt wielkiego ciśnienia i cała połowa oficyny zawaliła się, przygniatając ciężarem swoim kilkunastu robotników. Przerażającym był widok nazajutrz po katastrofie—dotąd jeszcze niezdołano wydobyć z pod gruzów wszystkich nieszczęśliwych, z pomiędzy których siedmiu zabitych już odnaleziono.

I pomyśleć, że dom ten był przeznaczonym na zamieszkanie go przez ludzi. Zaiste, dziwnem wydawać się musi owo lekceważenie, z jakiem niesumienni spekulanci traktują tych, których groszem przecież się żywią.

Obecnie wyznaczoną została osobna komisya w celu zbadania przyczyn tych wszystkich wypadków i w celu zrewidowania innych nowo wznoszonych kamienic.

— W 18 numerze „Kuryera Lubelskiego'' spotykamy artykuł, w którym oprócz znanej śpiewki o drożyznie mieszkań, narzekania na małą ilość nowowznoszonych domów, poruszoną jest kwestya dość, a nawet bardzo ważna o rozkładach mieszkań. Każdy lokal, choćby złożony z trzech tylko pokojów, musi mieć w tej liczbie salon, na urządzenie którego wybiera się największy pokój, nieuwzględniając niewygody, jaką się ponosi przez oddanie największego, najwidniejszego i zwykle najczyściejszego pokoju na użytek garstki znajomych, mającej się w nim raz na tydzień lub rzadziej jeszcze zebrać.

Dziś każdy musi mieć salon tak w Lublinie jak w Warszawie, jak i w każdej najmniejszej mieścinie—i często się zdarza, że rodzina złożona z kilku członków, mieści się w dwóch ciasnych pokoikach, niezawierających dostatecznej ilości powietrza, śpi w nich narażając

wzór spółczesnym [1]) jak należało postępować z niespotrzebowanemi przez księcia zapasami. Późniejsi kronikarze ułożyli sobie z tego powiastkę, że to Ryksa wyprawiała z własnych zapasów uczty w dnie uroczyste i na nie zapraszała jeszcze wolną od wszech podatków ludność, oraz sama wzywała magnatów, by dla niej i jej syna takie biesiady wyprawiali, co potem zamieniła w owe powinności utrzymania i przeprowadzania dworu!

Wreszcie Gallus jako uzupełnienie charakterystyki wiejskiej owych czasów ludności, daje wizerunek sądów, jakie odbywać miał Bolesław-Magnus w sporach zaszłych między jakim biednym wieśniakiem lub kobiecią a dostojnikiem. Są to sądy wspólne dla obu stanów przed trybunałem najwyższego księcia. Gdy powód skargę swą przedkładał, Bolesław niewprzód z miejsca się ruszył, mimo nawału wielkich zajęć i napływu w koło siebie dostojników i rycerstwa, aż póki całej niewysłuchał. Następnie słał komornika po obżałowanego a wieśniaka skarżącego komu z przybocznych oddawał w opiekę, by za przybyciem strony drugiej, sprawy przypomnieć nieomieszkał. Zaraz jednak napominał wieśniaka jak ojciec, czy istotnie miał powód skargi, i czy niesłusznie winując nieobecnego, sam na siebie gniewu potem sędzi nieściągnie? Z drugiej strony obwiniony z przybyciem niezwłóczył, i pod żadnym pozorem roku czyli terminu przez króla zapowiedzianego nieopuszczał. Skoro stanął przed Bolesławem, ten winnemu oburzenia gwałtownego nieokazywał, lecz uprzejmie i z wesołą twarzą go witał, do stołu zapraszał, i dopiero na drugi lub trzeci dzień sprawę rozsądzał.... Drobiazgowe to opowiadanie kronikarza wyraźnie ma na celu wytknięcie zupełnej bezstronności sędziego Bolesława dla obu stanów.

Z darowizn Judyty węgierki dla Tyńca, jeszcze jeden możnaby wniosek wyciągnąć. Mianowicie widoczną zdaje się być rzeczą, że skoro kobieta polska w X wieku, czyni ofiary z majątków ziemskich klasztorowi, posiadać je musi, a co większa, rozporządzać niemi ma prawo, choćby za potwierdzeniem męża i księcia panującego!

A dalej: obrazek pewien skreślony przez Gallusa, w głównej swej osobie żeńskiej przez Długosza Judycie przypisany, a przez Szajnochę, i Naruszewicza objaśniony, dowodzi, że pod wpływem obyczajów rycerskich, normandzko-(północno)-zachodnich, i u nas etyczne stanowisko kobiety coraz więcej zyskiwało na doniosłości, barwiło się obcym pogaństwu romantyzmem, którego najbardziej uderzający objaw w XII wieku, (że już pominę epizod wojewody Hermanowskiego: Sieciecha) odnosi się do stosunku Agnieszki cesarzówny, a żony Władysława II do swego męża. Wspomniany dopiero co obrazek Gallusa nosi zwykłe piętno tego autora. Kronikarz zdaje się być doskonale obznajomionym z formami życia feudalnego, bo wspomina o nich w stosownych miejscach, ze zrozumieniem rzeczy. Ale jednocześnie przyobleka je w innych razach w kształty nieco fantastyczne; z faktów rzeczywistych tworzy jakby anegdoty, którym nadaje znaczenie niezgodne z prawdą.

Tak samo z owym epizodem rzekomo wziętym z życia Judyty się dzieje. Brzmi on jak następuje: „Często się zdarzało (mówi Gallus), że królowa, żona Bolesława, kobieta baczna i przezorna, wielu na śmierć skazanych, z rąk oprawców wydarła, i od grożącego niebezpieczeństwa utraty życia wyswobodziła: po części *za wiedzą* króla, a po części gdy udawał, że nic niewie, królowa w więzieniu, pod strażą miłosiernie przy życiu winowajców utrzymywała. Wśród biesiady, w której brali udział rajcy Chrobrego, w liczbie dwunastu, ich żony, i królowa (Judyta), zgadało się między innemi o rodzie winowajców. Chrobry ze względu na zacność ich rodziców, użalił się nad kaźnią straconych i wyraził niezadowolenie ze swego na śmierć ich skazania. Wończas królowa pieszcząc czułą dłonią pierś niewzruszonego króla, spytała się go, ażali miłoby mu było, gdyby jaki święty wskrzesił uśmierconych? Na co jej król odrzekł, że niema rzeczy tak kosztownej, którejby niedał, skoroby kto zdołał do życia z mar skarconych powołać, i potomstwo do czci utraconej przywrócić.

To słysząc mądra i wierna królowa przyznaje się do świętego oszustwa, i rzuca się z dwunastu doradcami i ich żonami do nóg Bolesława, prosząc dla siebie i dla winowajców przebaczenia. Król Judytę łaskawie ujmuje w uściski, z pocałunkiem z ziemi podnosi i chwali jej czuły postępek. W tejże chwili posyłają ludzi z wielu końmi po owych więźniów, przy życiu roztropnością niewieścią zachowanych, z naznaczeniem tym gońcom chwili powrotu. Siedzących przy uczcie radość się wzmaga, na widok jak królowa mądrze chodzi około czci króla i pożytku państwa, jak król jej i rady przyjacioł prośbom zadość czynił. Owi zaś, po których wysłano, skoro przybyli, nie stawali zaraz przed królem, lecz przed królową, przez którą skarceni słowy na poły czułemi na poły ostremi, poszli do łaźni królewskiej.

Tu, król Bolesław wspomina ich niby ojciec synów, kąpiąc się z niemi, a wychwalając pamięć przodków, przemawiał do nich: Wy tak zacnego rodu potomki, niepowinniście byli dopuszczać się takich sprawek. Przyczem starszych wiekiem tylko słowami, bądź to sam, bądź przez innych strofował, młodszym zaś razy do słów przydawał.“

Upomniawszy zaś tak po ojcowsku, w królewskie szaty przyoblekłszy, darami obsypywał, i zaszczycał godnościami, i uweselonym do dom wracać pozwalał.

Gdy z tej opowieści Gallusowej odrzucimy dodatki poetyczne, znajdzie się w niej następnych sześć głównych epizodów. Odbywa się uczta u dworu; przeznaczeni do łaziennej ceremonii „winowajcy“ znajdują się pod strażą; stają przed królową; w łaźni ma miejsce kąpiel, przemowa i uderzenie przez króla; następuje przyobleczenie w szaty wyższego dostojeństwa (królewskie) i obdarzenie upominkami; kończy się obrzęd przez udzielenie jakiejś godności owym przestępcom i powrót ich wesoły do siebie.

Snadnie można się przekonać, że koniec wypadku zupełnie nieodpowiada początkowi. Winni gardłowej kaźni odbierają podarunki i zaszczyty, zbrodnia kończy się weselem i kara, która na żart wygląda. Ta już okoliczność skłania do innej oceny całego zajścia, któremu nadto barwę nieprzypadkową, nadaje wyrażenie, że takie wdanie się niby miłosierne królowej „często“ miewało miejsce. Rzeczywiście takie zdarzenia często trafiać się musiały gdyż Bolesław-Magnus kochał się w mnóstwie rycerstwa i zawsze się na brak jego żalił. Cała zaś opowieść Gallusa jest anegdotycznem przetworzeniem średniowiecznego obrzędu pasowania na rycerzy.

Odbywał się on pospolicie w pewne uroczystości większe, uświetnione biesiadami i t. p. Jak winowajcy Bolesława, tak w ogóle wszyscy aspiranci do stopnia rycerskiego, ulegali rodzajowi więzienia, to jest byli obowiązani noc całą przed obrzędem właściwym, spędzić w samotności, w kościele lub innem podobnem miejscu, gotując się modlitwą i postem do nowej godności. Na dworach zachodnich, gdzie najwcześniej rozwinęło się rycerstwo, i pospolitą się stała dewiza „*mon Dieu et ma dame*,“ energicznie wyrażająca dwa przedniejsze obowiązki pasowanego rycerza: czynną służbę miłosiedzia bożego i kult miło-

[1]) Proverbium posteris in exemplum.

---

się na ciągłą, choć powolną utratę zdrowia, nie śmiejąc wejść do *salonu*, aby nie zrobić w nim nieporządku, nie poplamić zafroterowanej podłogi lub ścian wyklejonych białym papierem. Dla gości chowa się największy pokój, wówczas, gdy kilkoro drobnych dzieci zmuszonych jest siedzieć w dusznej klatce—niedozwalającej im bawić się—biegać. Autor wspomnionego artykułu proponuje, aby przy budowaniu nowych domów—w każdym lokalu urządzano dwa duże pokoje, jeden na salon, drugi dla dzieci.

Jakkolwiek byłoby to dobrem—jednakże jest to dość trudnem do wykonania. U nas jeszcze nie poczuwają się właściciele domów, biorący grube pieniądze, do obowiązku dawania za nie wygodnych mieszkań swoim lokatorom i jeżeli płacąc pięćset rubli lokator chce za nie wygodnego i obszernego mieszkania, niech się wstrzymuje ze swemi wymaganiami.

Przy dzisiejszej cenie mieszkań, salon jest zbytkiem dozwolonym tym tylko, którzy mogą płacić po dwa i półtora tysiąca rubli za mieszkania—i stosowniejszą nam wydaje się rada, aby ci, którzy nie mogą bez uszczerbku dochodów mieć mieszkania w którem by salon istniał obok dwóch lub trzech pokojów przeznaczonych na sypialnie i pokój dziecinny — obywali się bez niego.

W ciągu zeszłego tygodnia odbyły się jeszcze dwa koncerty, dwa przedstawienia amatorskie i jedna prelekcya, podobno także amatorska. Jeden z koncertów urządzony był na rzecz towarzystwa podupadłych artystów muzycznych—i pomimo doborowego programu i szlachetnego celu nie zdołał zgromadzić do sal redutowych takiej ilości słuchaczów, jakiej spodziewać się należało. Dlaczego? Odpowiedź daje za nas Kuryerk Świąteczny, który powiada, że sale świeciły pustkami, bo koncert nie zdołał jeszcze stać się *modnym*. W tych słowach na pozór żartobliwych, mieści się wiele prawdy.

Drugim był koncert dwutygodniowy towarzystwa muzycznego, którym nowy dyrektor inaugurował niejako swoję działalność na świeżo przez siebie objętem stanowisku. Koncert ten powiódł się w zupełności i liczną do sal towarzystwa ściągnął publiczność, która szczerym oklaskiem wyrażała swoję sympatyą dla p. Wieniawskiego, nie szczędzącego swej pracy nietylko przy ułożeniu ale i przy wykonaniu doborowego programu, jakim się rzeczony koncert odznaczał.

Z przedstawień amatorskich w teatrzyku warszawskiego towarzystwa dobroczynności, jedno urządzone przez uczniów i uczennice ś. p. Jana Chęcińskiego na rzecz pozostałych po nim sierot—odbyło się, podobnie jak dwa poprzednie, dane w tymże samym celu—w zupełnej tajemnicy. Wprawdzie na kilka dni przed przedstawieniem błąkały się po pismach jakieś niepewne o niem wzmianki—ale ani w wigilią, ani w dniu kiedy ono miało miejsce, żadnych w pismach nie było ogłoszeń. Czyja w tem wina, nie wiemy, ale to pewna, że szkoda pracy amatorów-artystów i artystycznego ich kierownika, zasłużonego dyrektora J. S. Jasińskiego, który z całem poświęceniem pracował w szlachetnym celu uczczenia pamięci, pierwsi swego nauczyciela, drudzy ucznia — a których zacne usiłowania nie po-

ści idealnej — na tych dworach podobnie jak na dworze Bolesława, młodzi giermkowie szli po tych nocnych rozmyślaniach do królowej, pani zamku (kasztelanki) i jej orszaku, aby od nich być ustrojonemi do mającego się odbyć obrzędu. One też, często pasowanego już, przybierały w rycerską zbroję, zdobiły po raz pierwszy ostrogami i t. p.

Wszędzie też taki giermek, oczyściwszy ducha modłami, dopełniał ablucyi fizycznej, w uroczystej kąpieli jako symbolu nieskazitelności przyszłej. Zwyczaj ten tak głęboko wżył się w praktykę narodową, że u normandzkich rycerzy Anglii uwiecznił się instytucyą orderu „Łaźni,“ jako najwybitniejszej niemal części całego obrzędu pasowania. Niebrakło i tego epizodu w opowieści Gallusa, tylko że nadał uroczystości kąpielowej giermków Bolesława znaczenie pospolite, a obrzędowe „uderzenie“ mieczem po ramieniu ich, to jest „pasowanie“ właściwe, często łączone z symbolicznym „ostatnim policzkiem“ (wyzwolenia z podrzędnego stanowisku) zabarwił pojęciem chłosty karcącej, z czem mylnie złączono potem przysłowie „sprawić komu łaźnią.“

Łaźnia ta Chrobrego powtarza się nieraz za jego rządów; jeden jej przykład zapisał tenże sam Gallus pod rubryką Kaźmierza - Karola I, a szczegóły tak przez tego kronikarza jak i Mateusza Cholewę podane co do tego ostatniego wypadku uzupełniają powyższą opowieść w niektórych punktach. Mianowicie syn Ryksy i Mieszka Lamberta II w potyczce z Mazurami został z niebezpieczeństwa wybawiony przez jakiegoś „rycerza opolowego“ nietylko zbrojną ale i pochodzeniem od szlachty się różniącego. Kaźmierz za to się wywdzięczając (wedle Gallusa) nagradza swego wybawcę darowaniem mu czy daniem w zarząd jakiegoś miasta (civitas) i wynosi godnością między dostojników. Wedle Mateusza, ten niewolnik (originarjus) jak owi wieśniacy, do ziemi przywiązany (ascripticius), zostaje wyzwolony (przez policzek), po wyzwoleniu zbogacony, a już gdy był majętny został uszlachcony rycerską pretekstą, to jest szatą na rzymski sposób u dołu objętą purpurowym szlakiem (stąd *ciclas*), który złote gwiazdki na „polski sposób“ upstrzyły. To jest właśnie owa szata królewska, przez Bolesława winowajcom w łaźni, po uderzeniu rycerskiem, dawana i codziennie przez rycerzy zmieniana, wedle trenu żałobnego.

Trzymając się wiernie tekstu Gallusa, który mówi tylko ogólnie o „królowej,“ biorącej udział w obrzędzie pasowania rycerzy, właściwiej by może było, rzecz co do imienia jej zostawić w niepewności. Judyta bowiem już z tytułu swego pochodzenia węgierskiego, niezdaje się być odpowiednią na orędowniczkę rycerskiego obyczaju w Polsce. Łatwiej tą rolą mogła upamiętnić się która z księżniczek niemieckich poślubionych przez Bolesława Magnusa, czyto margrabianka miśnijska, czy Oda siostra jego zięcia Hermana Ekichardowicza, ile że przez Niemcy biły na Polskę prądy zachodniej cywilizacyi, nad Wisłą i Wartą przerabiały się z pierwiastkami rodzimemi, i stąd dalej płynęły. Tylko wojownicze z natury, rycerskie z przyczyn fizyologicznych usposobienie Węgrów, które pod tę porę między niemi wydało tak zwaną przez słowiańskich południowej stoczystości Karpat mieszkańców „białą Kniahinią,“—mogłoby i Judytę Gejzównę czynić wielbicielką i protektorką w Polsce poznanej normandzko-zachodniej szewaleryi, zjednać Judycie w tradycyi do czasów Długosza żyjącą opinię głównej orędowniczki pasowań rycerskich.

Głównym szkopułem, o który ta hipoteza się rozbija, jest niezmiernie krótkie pożycie małżeńskie węgierskiej księżniczki z Bolesławem, niedające jej niemal czasu i możności do rozpostarcia swych wpływów, zakończone w sposób wielce jaskrawy. Matka najstarszego syna Bolesława-Magnusa, niemal że zaraz po powiciu Bezbraima, wprost od kolebki świeżonarodzonego niemowlęcia została odpędzoną, wyzutą z praw księżnej, matki, małżonki, w dwa, najdalej w trzy lata po ich nabyciu.

(*D. c. n.*)

NATURA WILKA CIĄGNIE DO LASU.

MONODRAMAT [1])

WIERSZEM NAPISANY

przez

JÓZEFA GRAJNERTA.

Skończyłam moje wianki z dzikich róż, bła-
[watów
I z białego jaśminu,—tam słońce rozszerza
Już nad lasem koronę obłocznych szkarłatów,
A z głębi gajów słychać ligawkę pasterza..

(słychać ligawkę z daleka).

Jak pięknie echo dźwięczne w dal roznosi tony,
I niknie coraz ciszej, biegnąc w las zamglony...
Już stoję w kole drzewin sośnianej ustroni,
Słyszę gwary odległe w brzmieniu tajemni-
[czem,
Pienia ptaków, szmer liści, głos za głosem
[goni,
W szum głęboki harf leśnych szeroko rozgra-
[ny...
To muzyka, to koncert niezrównany z niczem !
Jakaż śliczna polanka błysnęła przedemną
Wśród kobierców murawy! — w koło wstęgą
[ciemną
Szumiący las okrąża tę łączki zielone,—
W głębi kryje się chata pod drzewin osłonę,
A nad nią dymek biały ku niebu się wije,
Ku tym chmurkom strzępiastym...
A toż pi osnki
[czyje?

(śpiew za sceną).

„Hej! poleciał gołąbek z listkiem do je-
[dynej.
Jak poleciał, tak przepadł w gęstwinie
[olszyny:
Może jastrząb go spotkał, a może jedyna
Pisze listek innemu, o mnie zapomina?“
O! grajcie, struny serca, te piosnki wioskowe;
Ja z wami już zamieszkam wśród tej ciszy
[błogiej,—
Kupię chatkę, i z matką lata sielankowe
Przeżyje.—
Są-ć i w mieście róże, lecz się
[z głogi
Często wiążą cierpkiemi, i uczucia kwiaty
Więdną wcześnie, a sława niespłaci tej straty:
Oklask tłumów nie wskrzesi zmarłych snów
[kobiety...

[1]) Monodramat ten był odegrany przez panią Aleksandrę Rakiewiczową w czasie przedstawienia żywych obrazów na dochód Przytuliska, które się odbyło na scenie Teatru Wielkiego w miesiącu marcu r. b., a o którem w czasie właściwym pomieściliśmy już wzmiankę w Ognisku.

---

wiodły się, nie przynosząc pożądanego materyalnego rezultatu.

Drugie przedstawienie amatorskie na rzecz sierot pod pod opieką warszawskiego towarzystwa dobroczynności zostających, jakkolwiek nie odznaczało się wcale doborem przedstawianych komedyi, ściągnęło 200 widzów, którzy dzięki znynym już talentom amatorów, nawet na sztukach żadnej nie posiadających wartości zdołali się dobrze ubawić.

Szereg tegorocznych odczytów zakończył o ile się zdaje odczyt panny J. K. Odyńcówny, który już na początku nazwaliśmy amatorskim, z powodu, iż prelegentka mówiła o wszystkiem, nie zachowując w wykładzie swoim żadnego ładu, nie trzymając się żadnej metody w wypowiadaniu myśli, łóżnie stąd i z owąd pochwytanych i nie związanych niczem w jedną systematyczną całość. Słyszeliśmy mnóstwo paradoksów, sporą liczbę zdań znakomitych myślicieli — ale własnego poglądu prelegentki w żaden sposób odnaleść nie byliśmy w stanie. Wychodząc zaś z odczytu pytaliśmy sami siebie: czego właściwie chciała panna Odyńcówna i co w tym chaosie zdań i myśli miało reprezentować własny pogląd prelegentki na wychowanie, traktowane ze stanowiska umiejętności specyalnej, zastosowanej do praw natury i potrzeb społeczeństwa.

W sferach artystycznych krąży niezbyt pomyślna wieść dla naszej opery i jej przyszłego rozwoju. Powiadają, że pan Adam Münchеimer dotychczasowy jej dyrektor, opuszcza to stanowisko, ustępując miejsca panu Trombiniemu, który już w ciągu dwu sezonów kierował goszczącą u nas operą włoską. Pan Münchеimer został dyrektorem opery polskiej po śmierci nieodżałowanego twórcy Halki i umiał się godnie wywiązać z przyjętych na siebie obowiązków. Sumienna praca, wytrwałość i gruntowna znajomość muzyki, której i jako kompozytor niejednokrotnie dawał dowody, towarzyszyły mu ciągle i dozwoliły z rzeczywistym pożytkiem zajmować opróżnione przez mistrza stanowisko. Obok tych niezaprzeczenie wielkiej wagi przymiotów, pan Münchеimer zna dokładnie muzykę krajową i wszystkie jej cechy i właściwości i dlatego umiał w wystawionych jego staraniem dziełach autorów krajowych zawsze właściwy i oryginalny zachować charakter—jak tego mieliśmy dowód na *Strasznym Dworze* i *Hrabinie* Moniuszki. Wprawdzie pan Münchеimer nie wystawił wielkiej liczby oper — ale te które wystawił posiadały rzeczywistą wartość; liczba zaś nie zależała od dyrektora, który w zimie był zawsze krępowany obecnością opery włoskiej a w lecie urlopami najcelniejszych artystów. Jeżeli istotnie pogłoska, którą podajemy, sprawdzi się i pan Trombini zajmie stanowisko, na którem odznaczali się tacy jak Krupiński, Nidecki, Dobrzyński i Moniuszko mistrzowie—to daj Boże aby dla opery naszej nie nastały czasy smutne, w których żałować nam przyjdzie pana Münheimera, który odziedziczoną po mistrzach spuściznę umiał uszanować i starał się ją utrzymać w stanie możliwej świetności.

O! chciałabym utopić w ciemnych nurtach Lety
Wszystkie te miejskie czasze nektarów aktorki,
A nawet zetrzeć z myśli i weselsze wzorki...
Raz, miano piękną sztukę wystawić Szyl-
[lera:
„Walkę *Fieska w Genui*,“—mnie z rozkładu
[dano
Rolę Eleonory żony bohatera.
Wszystko było gotowe,—mnie tylko czekano.
A jam usposobienia i chęci nie miała
Dać się zabić na scenie, i to z jakiej-ż dłoni!!
Ot, poprostu kobiecy kaprys w mej ustroni
Domowej mnie zatrzymał: Kupidyna strzała
Dość trafnie wymierzona, czy coś podobnego
Było przyczyną moich grymasów dnia tego.
Bije szósta godzina z wieczora, przychodzi
Poseł jeden bez skutku,—siódma bije w mie-
[ście,
Wpada Argus nasz czujny, reżyser dobrodziej,
I prosi, przekonywa, żem wzruszona wreście
Zapałem jego myśli o wielkości sztuki,
O ofierze z swych uczuć, przybyła na scenę.
Mówią, żem przeszła wtedy samą Melpo-
[menę,
Dzierżąc palmę zwycięzką talentu, nauki.
Grając melancholijną, wierną Fieska żonę,
Jej miłość, łzy, obawę, rozpacz, poświęcenie,
Dusze widzów przeniosłam w tę nadmorską
[stronę,
Gdzie straszny bój zahuczał po ulicach miasta.
Pod gniotem przeczuć pierś mą rwie ciężkie
[westchnienie,
Drżę o życie małżonka,—zapał gry mej wzra-
[sta...
Ogromna cisza w sali... Wtem armatnie hasło
Wstrząsa mury, a światło błysnęło, i zgasło
Razem z grzmotem w przystani. „Fiesko mój
góra!“
Wołam, hełmem skroń zbroję, kryję się pur-
[purą,
Którą synowiec doży nosił Gianettino;
Przebrana, z mieczem w dłoni, żegnam Ara-
[bellę,
I śpieszę, gdzie wojsk tłumy jako fale płyną.
Wrzask dowódców, huk strzałów płomień na
[kościele
Wymijam, biegnę walczyć przy sercu mi dro-
[giem,—
Wreszcie męża znajduję,—głos mi w piersi
[kona,—
A on sądząc z mej szaty, że się spotkał z wro-
[giem,
Napada i miecz topi w krwi wiernego łona!—
Dziwną ma siłę Szyller i zapał młodości,
Morze uczuć przelewa w tragiczne postacie,
Zasady mu współczesne i czyny z przeszłości
Postaciuje w kolosach o wszechludzkiej szacie.
Ciekawam... jak tam pójdzie jutro pierwsza
[próba
Dziewicy z Orleanu? Kto mnie tam wyręczy,
I czy wyręczy tylko? Ha! w tem już rachuba
Być musi reżysera, by w obwód obręczy
Swych interesów składnie personel urządzić.
Niech robią, jak tam zechcą! Dla mnie dość
[tych trudów,
Niepokojów wewnętrznych,—wśród przyrody
[cudów
Nie będę gorączkowo już za sławą błądzić,—
Tu serce me i duszę wzmogę prawd natchnie-
[niem,
Wiecznym urokiem piękna... Tam, wszystko
zmyśleniem.
Zmyśleniem?... Tak z pozoru wydaje się
[sztuka,
W której autor przedstawia sprawy obcych,
[ludzi,
Dla której aktor wzorów w całym świecie szuka
A ten z nich ma być lepszy, który zręczniej
[złudzi...
Więc tam nie ma być prawdy, piękna i na-
[tury
Dlatego, że artysta w kształ się obcy stroi?
I z wiarą w swą potęgę wzrusza z posad góry,
I duchem się unosi do niebios podwoi,
By stamtąd przynieść wzory wiecznych idea-
[łów,
I wcielić je na ziemi w czyn, w postacie żywe,
I tchnąć w nie moc piorunną uczuć i zapałów,
Lub słodyczy niebiańskiej dać typy prawdzi-
we?
Czyż takie natężenie ducha z piętnem bożem
I ten polot sił jego, co fantazyi morzem
Płynie w sfery prawd wiecznych do źródeł
[natchnienia,
Zmyśleniem ma być marnem? i płodem ma-
[midła?
Nie, zaiste! duch ludzki uzbrojony w skrzy-
[dła
Twórczej władzy, to wiano ludzkiego ple-
[mienia
O tyle w swych objawach lepsze, misterniejsze
Od pięknych kanw przyrody, ile jest wznio-
[ślejsze
Od objawów przyrody państwo jego boże —
Od tworów, co bezwiedne, bez woli, wsród
[świata
Pełnią ruch maszynowy... Tylko człowiek może
Na wzór typów wieczystych i wiecznej piękno-
[ści
Stwarzać światy arcydzieł, gdyż jego myśl go-
[ści
W regionach wszech życia, z Prawdą prawd
[się brata!
Poezyo czynu! sztuko dramatyczna, tobie
Jak radośnie w ofierze nieść promienie czy-
[ste,—
Poezyo! ja z mej duszy świątynię ci zrobię.
Ty wznosisz ideały na trony ojczyste,
Ja z nieba je sprowadzam, stroję w ludzką
[tkankę,—
O! ty masz we mnie wierną Westalkę kapłankę.
Kapłankę?... Łatwe słowo... lecz płomień
[po temu
Jest-że dotąd, lub jeszcze w mej duszy?...
[I czemu
Krótkie życie swe sprzedać dla nieścigłych
[marzeń,
Gdzie walka żądz drażliwych, jak sęp Prome-
[teja
Szarpie serca artystów, gdzie z urny wydarzeń
Często grozi los czarny, gdzie laurów nadzieja
Wiecznie myśl twą zaprząta, jakby charaktery
Osób dramatu przenieść w idealne sfery?...
Lecz cóż to! Słychać tentent?—pociąg spa-
[cerowy
Powraca?—już zaświstał? Tak, siódma... już
[pora...
A więc śpieszmy. Widoku pól cudnych! bądź
[zdrowy;
Wszak jutro o tej samej godzinie z wieczora
Joannę d'Arc grać mają,—beze mnie? Ja mo-
[jej
Roli się nie pozbędę! Spieszmy, pociąg stoi.

LUDZIE PIERWOTNI.

(Dokończenie)

Pod naciskiem potrzeby ludy diluwialne nauczyły się w końcu, po upływie bezwątpienia bardzo długiego czasu, rozniecać ogień w celu stapiania śniegu i gotowania niektórych pokarmów—następnie ze skór zwierząt zabitych sporządzano sobie odzież. Przytem wypadało im udoskonalić broń i narzędzia odpowiednio do ich przeznaczenia—żelazca włóczni, harpuny z ości, iglice, wymagały użycia dość misternych narzędzi krzemiennych.

Wyroby tego rodzaju nabywają z postępem czasu, pewnego stopnia artyzmu — narzędzia często reprezentują nam wizerunki zwierząt owoczesnych.

W tymże czasie wytworzyła się nowa rasa z dwóch pierwotnych wąskogłowej i szerokogłowej. Typ doliny Renu, Neanderthalski znikł zupełnie, a natomiast wystąpił inny, z cechami czaszki, jaką znaleziono w Cro-Magnon. Ludy tej rasy odznaczały się siłą i wspaniałym wzrostem. — Z kolei czasu przyszły pokolenia których budowę anatomiczną uzmysławiają nam szkielety z Furfooz i Arcy.

Jednocześnie znikają: mamut, nosorożec grzywiasty i wielki niedźwiedź — na miejsce ich występują typy fauny mniej kolosalne, jakie dziś widzimy w Australii.

W wieku rena ukazuje się rasa mięszana, wzrostu mniejszego, słabsza od poprzedniej i łagodniejszych obyczajów.

W końcu epoki diluwialnej, klimat zwolna

staje się cieplejszym — reny wynoszą się na północ, a wraz z niemi pewna część ludności. Rasa z Furfooz znika. Zajmowała ona wyłącznie Szwajcaryą, aż do czasów wprowadzenia żelaza. Z łona jej wyszli Ligurowie (Illyryjczycy, Sykulowie i t. p.) i Etruskowie, pochodzący z pokrzyżowania się z Pelazgami.

Typ Celtycki zniknął bezpowrotnie—Germanowie i Sławianie do tejże rasy z Furfooz się odnoszą, chociaż od tego pradawnego okresu uległi wielu zmianom, i rozdzielili się na dwa oddzielne szczepy.

W końcu epoki rena, Semici, od których pochodzą Egipcyanie, Etyopowie, Libijczycy, osiedli w północnej Afryce, i dotarli aż do wysp Kanaryjskich, naówczas połączonych niewątpliwie z lądem stałym. Następnie zagarnęli oni Hiszpanią i południową Francyą.— Z nich pochodzą Baskowie i Iberyjczycy. Rozszerzając się w Afryce, wyparli oni na zachód szczep murzyński, zamieszkujący Gwineę.

Część Semitów z niemi pokrzyżowanych zwróciła się następnie ku Europie. Z mieszańców tych pochodzą zapewne czaszki, znalezione w Lombrive, i Anglii, przypominające rasę niższą od właściwej okresowi diluwialnemu.

Typ ten znachodzimy we wszystkich dolmenach — słynne *czaszki apostołów*, pochodzące z czasów wprowadzenia wiary chrześcijańskiej do Szwecyi i tamże odkopane, do niego należą.

Bronz zwolna wprowadzanym został w użycie, w skutek wymian zachodzących między jednem a drugiem pokoleniem. Żelazo przynieśli Celtowie do Francyi, później do Hiszpanii,—Helwetowie wnieśli je do Szwajcaryi,— Helenowie do Grecyi, Umbrowie do Włoch.

Rozszerzenie się rasy Aryjskiej w Europie, jest współczesnem pierwszemu, ukazaniu się w niej żelaza. Od chwili wprowadzenia tego metalu do Azyi, zaczyna się pewniejsza historya pierwszych jej mocarstw.

Egipt korzystał już z żelaza, gdy Europa bronz tylko znała,—dzieje jego zaczynają się jednocześnie z epoką bronzową Europy. Z żelazem zresztą zapoznali naszę część świata, nietylko jej zdobywcy, ale obok tego i handel wymienny.

Przejdźmy teraz do obyczajów ludzi pierwotnych. Z odkryć dotąd znanych wnosić winniśmy, że byli niżsi od nas pod wszelkiemi względami — im dalej sięgamy w ich przeszłość, tym nasze zasady moralne muszą się więcej różnić od im właściwych. Zresztą to jasna, moralność bowiem wypływa z rozwoju sił społecznych.

Chcąc poznać obyczaje ludzi pierwotnych, należy pod tym względem badać dzisiejsze dzikie pokolenia ziemi. U tych zabójstwo i kradzież w jednej rodzinie lub w jednem pokoleniu, poczytywane jest za występek—zabić jednak lub okraść człowieka z obcego pokolenia, przybysza lub cudzoziemca, staje się u nich zasługą.

Obyczaje w stosunkach zachodzących między obu płciami, są przedewszystkiem godne naszej uwagi, gdyż od ich rozwoju zależy podstawa naszego stanu społecznego—rodzina.

Wśród zwierząt ssących, powodowane zazdrością samce właściwą sobie bronią zwyciężają swych współzawodników—w następstwie czego samice należą do najsilniejszego osobnika. Jeżeli naprzykład goryl nie znosi w swej bandzie samców dojrzałych, to przypuścić należy, że nie przebiera między matkami, siostrami i córkami. Monogamia niektórych malp nie osłabia tego spostrzeżenia, gdyż te zwierzęta żyją w jednej parze tylko przez pewną część roku. Zwierzęta żyjące rzeczywiście w monogamii, tworzą pary oddzielne. Polygamia tem samem goryla była by pewnym rodzajem postępu.

Coś podobnego upatruje Lubbock w życiu ludów pierwotnych — miłość w tem znaczeniu w jakiem ją dziś pojmujemy, była im bezwątpienia nieznaną. W tej mierze odsyłamy czytelnika do słynnego dzieła tegoż autora „*Pierwociny cywilizacyi.*“ W tym stanie społecznym, dzieci uważane były za należące do całego pokolenia, nie mniej przecież istniały węzły między dzieckiem a matką. Był to pierwszy zawiązek rodziny. Genealogja wyprowadzana od kobiet istniała zresztą w czasach nawet dość nam blizkich. W Atenach utrzymywała się do czasów Cekropsa— u Lycejczyków w epoce Herodota—u Lokrejczyków za Polybiusza. U wielu ludów dzikich, dziedzictwo przechodzi po kądzieli.— U Battasów na Sumatrze, wstępuje na tron nie syn nieboszczyka, lecz synowiec po siostrze zmarłego naczelnika ludu. Indyanie zatoki Hudsońskiej objaśniali ten zwyczaj u nich również istniejący, Carverowi.—Według nich, słuszniejszem jest aby dzieci nosiły nazwisko matki z której niewątpliwie pochodzą, niż ojca nie zawsze mającego prawo je nadawać. Wspólność kobiet była prawem w pierwocinach ludzkości, kto chciał pozyskać kobiety do niego wyłącznie należące, musiał je brać przemocą z pokoleń sąsiednich. Niewolnice tem samem były pierwszemi małżonkami. Zwyczaj ten utrzymywał się wszędzie.

Kobiety należące do pokolenia, nawet za wprowadzeniem powyższego rodzaju małżeństwa, pozostawały przez długi czas w poszanowaniu, nawet u ludu tak posuniętego w cywilizacyi jakim byli Grecy. Co do branek, to należące do jednego wojownika, obowiązane były do pewnego rodzaju ustępstwa zasadzie wspólności.

Skąd też w Babylonii każda kobieta przed zamężciem, musiała raz przynajmniej udać się do świątyni Wenery, z ofiarą dziewictwa. Podobny zwyczaj istniał u Etyopów, w Kartaginie i w wielu miejscowościach Grecyi, wreszcie u Lydyjczyków, Fraków i Indyan. Symbol zastępujący zaprzeszłą rzeczywistość, istniał jeszcze we Włoszech za czasów Ś-go Augustyna.

Niema wątpliwości, że zwyczaj ten odgrywał pewną rolę, w życiu ludów pierwotnych. Z podobnych praw mogą korzystać dziś jeszcze podróżni, szukający schronienia w chatach dzikich Indyan amerykańskich, lub Eskimosów.

W takim stanie społecznym, często miało miejsce dzieciobójstwo—obecność kobiet wywoływała napaść pokoleń sąsiednich. — Dla utrzymania pokoju zabijano dzieci płci żeńskiej, co zwiększało potrzebę posiadania branek wojennych. Genealogia po mieczu datuje się dopiero od czasów historycznych, z wyjątkiem pokoleń dzikich zachowujących prastary zwyczaj.

Pozostaje nam określić choć w przybliżeniu, te ogromne cykle czasu o których mówiliśmy przeglądając epoki geologiczne.

Żelazo przejawiło się w Europie na dwa tysiące lat przed naszą erą, a w Azyi na trzy tysiące lat—co do bronzu ten był znany przed żelazem na dwa tysiące lat. Chronologia ta opiera się na badaniu warstw ziemnych, jezior, pomników sztuki lub przemysłu człowieka. Obliczenia te nie są naturalnie ściśłemi, lecz z drugiej strony nie wiele od prawdy odstępują.

I tak jezioro Bienne, rozciągało się w czasie epoki bronzowej, o 1740 sążni pol. dalej niż obecnie,—dowodzą tego starożytne pale, dziś z ziemi sterczące. Jezioro widocznie zmniejszało się zwolna i regularnie, gdyż muł delikatny przez nie osadzony jest wszędzie poziomy i równo warstwowany. Chcąc poznać datę zbudowania tych pali, dostatecznem jest wiedzieć, o ile wody cofały się na tej przestrzeni w czasie danym. Opactwo Ś-go Jana wzniesione około 1100 roku, pozwala nam dokonać tego obliczenia.

Jeden z dokumentów pradawnych, podaje, że opactwo Ś-go Jana zbudowanem było na brzegu jeziora Bienne. Ponieważ obecnie jest ono oddalonem od tego brzegu o 1300 stóp—ta więc liczba przedstawia miarę osadów wytworzonych od 775 lat. Przyjmując cyfrę okrągłą 700 lat, czyli 7 wieków, otrzymamy, za jezioro cofało się o 186 stóp pol. w przeciągu stu lat. Jeżeli więc jezioro cofnęło się o 1300 stóp w ciągu siedmiu wieków, to cofnięcie się jego o 1740 sążni czyli 10440 stóp pol. wymagało upływu czasu wynoszącego przeszło 56 wieków, czyli 5600 lat. Tak starożytnemi więc byłyby pale jeziora Bienne. Jeżeli tem samem przyjmujemy, że bronz wprowadzonym był do Europy przed 4000 lat, podajemy cyfrę wcale nie przesadzoną.

Na podstawie podobnych obliczeń, wiek kamienia gładzonego określamy cyklem 12000 lat.

W 1851 i 1854 roku, sondowano łożysko doliny Nilu. W głębokości przeszło 62 stóp pol. natrafiono na cegłę paloną, a w głębi 76 stóp pol. znaleziono drugą takąż cegłę.

Wiadomo jest, że dolina Nilu wytworzoną została z osadów mulastych tej rzeki—osady te przybywają corocznie w tak małej ilości, że nie przedstawiają żadnego warstwowania. Grubość osadów w ciągu stulecia, dochodzi 5 cali polskich, powiększając tę cyfrę do $6^1/_2$ cala dla uniknienia błędu, (gdyż im dzielnik będzie większym tem iloraz wypadnie mniejszym) otrzymamy że owe 62 stóp czyli 744 cali podzielone przez $6^1/_2$ cali pol. wydadzą liczbę 120 wieków czyli 12000 lat. wykazujących starożytność pierwszej cegły. Wiek drugiej cegły wynosiłby tem samem przeszło 14600 lat.

Rossère oznacza na 60 milimetrów, przyrost osadów delty Nilu w każdym roku—Lyell zaś na 63 milimetry. Przyjmując to ostatnie obliczenie, cegła znaleziona w głębokości 76 stóp polskich, pozostawałaby tam od 30000 lat, to jest od epoki w której Europa przechodziła wiek rena.

Wiek ten wraz z częścią epoki mamuta, który razem oznaczamy okresem polodowym, trwałby 100000 lat. Nie powinniśmy się przecież dziwić tej cyfrze—delta Missisipi potrzebowała takiegoż cyklu czasu do swego wyformowania się, co jest w geologii faktem stwierdzonym. Z drugiej strony sam Agassis podaje na 131000 lat czas, jakiego potrzebowały do swego wytworzenia się skały koralowe Florydy.

Są to jak widzimy obliczenia ludzi kompetentnych,—ilużto jednak starożytników a na te cyfry wzrusza ramionami. Dla nich zawsze są to oceny zbyt przesadzone, choćbyśmy je do połowy zmniejszali. Sto tysięcy lat według nich jest niedorzecznością, również jak 50000 lub 25000 lat. — W tych warunkach wszelka dyskusya jest niemożebną.

Co się tyczy okresu lodowego, wiek jego z obserwacyi daje się ściślej obliczyć. Rachunek jest bardzo prosty.

Poziom Anglii od okresu lodowego uległ znacznym oscylacyom. W owej epoce wzniósł się on do 660 metrów, jak o tem przekonywają muszle, znalezione w tej wysokości. Przyjmując, że podwyższanie się poziomu dochodziło 75 centymetrów w ciągu wieku (cyfrę sprawdzoną przy obserwowaniu tego rodzaju fluktuacyi innych lądów), z podzielenia 660 metrów czyli 66000 centymetrów, przez 75

centymetrów, otrzymamy na iloraz liczbę 880, wyrażającą stulecia czyli 88000 lat. Podobnie długiego czasu potrzebowała ziemia angielska, do obniżenia się do poziomu obecnego.

Wszelako w następstwie, Anglia w drugiej swej fazie kontynentalnej, podniosła znowu swój poziom o 180 metrów powyżej dzisiejszego. Zatem do dwakroć wziętych 88000 lat czyli 176000 lat, potrzeba dołączyć 48000, co w ogóle da wspaniałą sumę 224000 lat.

Krzemienie doliny Somme spoczywające bezpośrednio na kredzie, odnosić by można do okresu lodowego, liczyć więc mogłyby 200 lub 300 tysięcy lat.

W obec tych cyfr chronologia sięgająca zaledwie 5 lub 6 tysięcy lat, bynajmniej nam nie wyjaśnia rozlicznych rozwojów życia. W tak krótkim upływie czasu, niemogłaby rozrodzić się nigdy na ziemi dzisiejsza tak bogata flora i fauna—a cóż dopiero powiedzieć o okazach zwierząt i roślin, znajdywanych w stanie kopalnym.

Człowiek ulegający prawu przekształceń tak powolnych, iluż lat potrzebował do pozyskania tych form doskonałych, dziś go całkiem odróżniających od rasy, której typ reprezentuje czaszka Neanderthalska.

Epoka pliocenu górnego trwała według geologów 20000 lat—grubość pokładów czwartorzędnych dochodzi $783\frac{1}{2}$ stóp, warstw zaś trzeciorzędowych 3370 stóp pol.—nie będzie więc zuchwalstwem oznaczyć cykl czasu, jaki upłynął od epoki miocenicznej do pliocenu końcowego, na 68000 lat.

Astronomowie obliczają na miliony lat, upływ czasu potrzebnego mgławicy do przejścia w stan stały właściwy planetom. Jeżeli to ich obliczenie nas nie zadziwia, ani nie razi to dla czegóż mamy być drażliwszymi, gdy chodzi o powolny rozwój ziemi i jej mieszkańców? W porównaniu z wiecznością czemże są wszelkie cyfry? Kroplą wody, mgnieniem oka, chwilą gasnącą w przeszłości, czemś wielce maluczkiem wobec pojęcia czasu, przestrzeni wielkości wszechświata i jego Stworzyciela.

Dla naszych piersi zawiele tej atmosfery—dla oczu zawiele przestrzeni,—dla myśli zawiele zagadnień. Chcielibyśmy wspaniałe te zjawiska wypływające z niewymierności czasu objąć naszemi zdolnościami, i czujemy się karlikami gdy przychodzi spełnić to olbrzymie zadanie. Chcielibyśmy je mierzyć według skali zwykłej powszedniej, i to właśnie prowadzi nas do błędu. Nieudolność naszego umysłu nas drażni, nie idzie przecież zatem, a przynajmniej nie powinno, aby zatykać uszy na głos prawdy, zamykać oczy z obawy ujrzenia rzeczywistości.

W cyklu czasu jaki skreśliliśmy, figuruje liczba kolosalna wynosząca przeszło milion lat. Wskazuje nam ona upływ czasu od okresu miocenicznego do epoki żelaza. Dlaczegóż mamy ją odrzucać? Mówią nam o niej pokłady geologiczne ziemi, odkrycia paleontologii i archeologii—o niewymierności czasu mówi nam zresztą cały wszechświat niezmierzony jak jego Twórca.

Nauka w niczem nie obraża naszych przekonań, dlaczego mamy być wrogami postępu, wypowiadającego prawdy prowadzące do wiedzy? Ród ludzki jest zaiste wielce starożytnym. W zapasach człowieka z przyrodą i jej tworami, znajdujemy materyał do homerycznej epopei, jaką opiewają nam jaskinie i groty ziemskie, wkładające na skroń człowieka wieniec z nieśmiertelników nigdy niezwiędłych i namaszczające go na bohatera ziemi, którą po wielu walkach tytanicznych objął w końcu w posiadanie.

Wincenty Niewiadomski.

SYN PANA MARKA.

SZKIC Z ŻYCIA WIEJSKIEGO.

przez

Klemensa Junoszę.

(Dalszy ciąg).

VI.

Była już jesień.

Piękna ta pora roku, przynosząca ludziom złote ziarna zboża i smaczne owoce, miała się ku końcowi, zasępiając od czasu do czasu jasny horyzont niebios szarą chmurką...: lub też unosząc ponad polami długie białe nitki, zwane babiem latem.

Niech co chcą mówią ludzie, ale jesień, to najpiękniejsza pora roku, bo wiosna nierozdzielonym węzłem złączona jest z przednówkiem, lato jest porą sianokosów i żniwa, a przez to potrzebuje massę *drobnych* na wypłatę robotnikom, a jesień złota jesień, napełnia puste stodoły i kasę rolnika, opustoszałą podczas dwóch pór poprzednich.

Nie potrzebujemy dodawać, że niniejszy pogląd na pory roku, jest skreślony z tego punktu widzenia, z jakiego zapatrują się zacni nasi pracownicy ziemi—ci poczciwi ludzie, których życie jest nieustającem pasmem operacyi finansowo-kredytowych, tranzakcyi zbożowych podług kursów przyszłości i układów z bankierami jeżdżącymi na dwukołowym wózku, zwanym pospolicie *biedą*.

Dla ludzi oddychających świeżem powietrzem wsi, jesień ma jeszcze wiele innych przymiotów, z których najwyraźniejszym jest ten, iż projekty wiosenne i letnie jeżeli urzeczywistniają się kiedy, to tylko w jesieni.

Wszystkie ważniejsze sprawy rodzinne zależne od stanu funduszów, wtedy najczęściej załatwiać się pozwalają.

I pora ta nietylko wywiera wpływ na tak zwanego obywatela ziemskiego, osiadłego na małym lub średnim folwarczku, ale i w życiu kmiecim gra rolę bardzo ważną. Kto miał sposobność przeglądać statystykę małżeństw wieśniaczych, ten nie mógł zapewne nie zauważyć, że najwięcej związków zawiera się w Październiku i Listopadzie. Jest to rzeczą bardzo naturalnem, w tej bowiem porze każdy kmieć ma już zgromadzone na całą zimę zapasy, i pierwsze chwile małżeństwa może przepędzać bez wielkiej troski o tę alfę i omegę wszelkich dążeń człowieka, to jest o chleb powszedni.

I dla naszego bohatera jesień na swoich skrzydłach miała przynieść ową godzinę, w której musiał opuścić malownicze okolice Wólki, i powędrować między ludzi obcych, daleko, aby wedle postanowienia rodziców, rady wujaszka i sąsiadów, pracować na owoce, które miał kiedyś w przyszłości spożywać.

Pani Markowa już od owego wieczoru od owej pamiętnej kolacyi, na której tak się podochocono, że nawet prezes Gzubski całował marszałka Sapajłę, żyła tylko jedną myślą.... myślą zobaczenia kiedyś Czesia dyrektorem fabryki.

Nieraz we śnie widziała obrazy piękne i zachwycające. Śniło jej się, że przyjechała w odwiedziny do Czesia, że przyjmował ją w eleganckim apartamencie, że przychodzili do niego podwładni po dyspozycye, a on im rozkazy wydawał głosem donośnym. Bo i dlaczegóż miałby mówić cicho, kiedy jest dyrektorem a jego żona dyrektorową?... I śniła dalej pani Markowa, jak pieściła wnuków i wnuczki, a potem wracała do domu, wioząc kilkanaście głów pysznego rafinatu synowskiej roboty, dla siebie i sąsiadów, wioząc cały worek cukru lodowatego i owsianego dla dzieci, wyobrażała sobie, jak to wszystko rozdawać będzie, i jakie pochwały dla Czesia swojego usłyszy....

Poczciwa matka, onaby i świat cały cukrem rada była zasypać, aby tylko dla swego pierworodka pochwałę usłyszeć, aby każdemu z dumą powiedzieć mogła: to mój syn, moja pociecha, mój dyrektor.

Z tych marzeń budził panią Markowę zegar z kukułką i zwykłe codzienne kłopoty, przy których umiała jednak ta kochająca matka śnić na jawie i prząść dalej nitki marzeń złotych, nitki długie, błyszczące, które dla niej nigdy końca mieć nie mogły.

Zbliżała się chwila stanowcza, godzina odjazdu. W wilią tego dnia, ksiądz Symforyan mszę na intencyą Czesia odprawił, i około godziny 11-ej powrócono do domu. Pan Marek zajęty był dyspozycyami, które wydawał Onufremu, zajęty był liczeniem pieniędzy na drogę i myślą o tem, aby w trzydziestomilowej podróży niczego nie zabrakło, aby nic po drodze nie kupować, ale mieć wszystko z sobą, jak porządnym ludziom przystoi.

Na wspólnej naradzie jaką między sobą państwo Chojnowscy odbyli, postanowiono, że matka Czesia do cukrowni odwiezie, i z tego tytułu miał pan Marek większy kłopot—gdyż wyprawienie żony w podróż tak daleką, wymagało sporo zachodu, i składało na jego barki całe brzemię gospodarstwa kobiecego podczas jej nieobecności.

Pan Maciej z Woli Wrzeszczącej, człowiek bywały i mający bardzo rozległe stosunki, napisał do dyrektora cukrowni list po niemiecku, w którym rekomendował Czesia jako dobrego i pracowitego chłopca, upraszając o przyjęcie go do fabryki, oraz o ojcowską opiekę, i nadzór nad ukochanem dzieckiem swojego sąsiada.

Z tym to listem, pieniędzmi i Czesiem, miała pani Chojnowska opuścić Wólkę, i ruszyć w daleką drogę, aby zacząć budować fundament synowskiej przyszłości.

Pan Kapitan dawno już odjechał do Sowich-Głów, i od owej pory jeden tylko list napisał do siostry, zachęcając ją do wytrwania w powziętem postanowieniu, i radząc, aby je o ile można najprędzej przyprowadzić do skutku.

I tak się wszystko złożyło jakoś powoli, że wyjazd o którym sąsiadki powtarzały potrochu, nieodwołalnie miał nastąpić. Dzień na to przeznaczony był ma się rozumieć dniem sobotnim, gdyż pan Marek szedł za tradycyą, a ta tradycya zwyczajów podlaskich, nakazywała wszystkie ważniejsze przedsięwzięcia rozpoczynać w soboty.

W sobotę tedy rozpoczynano w Wólce orkę, siew, sianokosy i żniwa, w sobotę wyjeżdżał pan Marek do miasta gubernialnego płacić podatki i robić sprawunki, w sobotę brał ślub, jednem słowem, wszystko co ważne rozpoczynał. Jeden był tylko wyjątek. Jeśli wypadło mu sprzedać zboże, lub pożyczyć pieniędzy, to tego nie czynił w sobotę, stosując się w tym razie, jak i każdy szlachcic, do przepisów niepisanych, które obywatel ziemski *volens nolens* do pewnego stopnia obserwować musi.

Już w piątek wieczorem Onufry miał nasmarowaną brykę, konie dobrze nakarmione, wór z obrokiem gotowy i tak obficie napełniony, ażeby mógł na cały tydzień wystarczyć. Tłomok z rzeczami i całą wyprawą Czesia również był zapakowany i zapięty, tylko jeszcze pani Markowa lokowała w pudełku kapelusz przypominający klomb z ogrodu bota-

nicznego, a kucharz Jacenty układał zapasy żywności w ogromnej kobiałce.

Nazajutrz miano ze wschodem słońca wyruszyć, przeto nie zasiadywano się długo i wszyscy poszli spać nie wyłączając Czesia, który miał wielką ochotę zajrzeć jeszcze do psiarni i do stajni, aby pożegnać na długo Zagraja, Arfę i Dogonia, z któremi tyle chwil przyjemnych w lesie przepędził, aby pożegnać deresza i kasztankę, a nawet i bułanego, który chociaż się potykał, miał jednak dla naszego bohatera więcej widoku, aniżeli owo dyrektorstwo *in partibus in fidelium*, w które wszyscy wierzyli, a o którem tylko on jeden..powątpiewał.

Wszyscy zasnęli, wszyscy marzyli, i naturalną rzeczy koleją, obudzili się wszyscy.

Jasne słońce oświeciło scenę pożegnania odbywającą się na ganku, ptaszki słyszały odgłos pocałunków i płacz młodszej generacyi państwa Chojnowskich. Wreszcie pani Markowa z Czesiem zasiadła na bryczce, Onufry się przeżegnał, śmignął biczem na krzyż, i ruszył wolnym kłusem.

Po chwili, Wólka i cały obrazek rodzinnego gniadka zniknął z przed oczu Czesia, a każde drzewo przy drodze zdawało mu się jakiemś fatalnem widmem, wydzierającem go z ukochanego ustronia, rzucającem w jakąś tajemniczą przepaść, zwaną przyszłością.

Dyrektor in spe zapłakał. Zapłakała i matka wzruszona łzami dziecka, a stary Onufry przez długoletnią służbę upoważniony niejako do pewnej familiarności, odwróciwszy się do państwa, powiedział:

— Bo i po co, przez urazy Jaśnie pani,— wywozić panicza do tych ta niemców, on nie przymierzając, kiejby żydy szwargoczą a może nawet, Panie odpuść, i nie chrzcone bestye....

Pani Markowa pod wpływem rozczulenia i łez synowskich, stała się skłonną do zwierzeń.

— Bo widzicie, rzekła—panicz się tam wyuczy, a potem będzie miał swoją fabrykę, i będzie bogaty.

— Ha, cóż, ja tam moim głupim rozumem tego sobie rozkalkulować nie umiem, światu nie widziałem, tylko zawdy przy tych koniskach, ale mnie się widzi, że to jakoś dla panicza nie pasuje.

— Dla czego?

— A dyć, przecieć i nasz pan u niemców się nie uczył, a dla tego dobry gospodarz jest, i ziemia mu rodzi, a żydziska pieniędzy dowożą.

Pani Markowa zamyśliła się głęboko, i gdyby ją w tej chwili zapytano, kto ma słuszniejszą racyę, czy pan Władysław, czy stary Onufry, nie wiedziałaby co na to odpowiedzieć. Zasępiła się twarz poczciwej kobiety, a myśl jej pobiegła napowrót do Wólki, gdzie jeszcze siedmioro, jak nazywała, drobiazgu zostało, i gdzie został pan Marek, którego po swojemu, ale serdecznie kochała.

Trzy dni i trzy noce jechała pani Chojnowska z synem, aż dnia czwartego ukazała się przed niemi ładna wioseczka o murowanych budynkach, nad którą z jednej strony wznosiła się wieżyczka kościołka, z drugiej zaś wysoki, dymiący czerwony komin fabryczny.

W tej wiosce kuzyn daleki pani Markowej ksiądz Roman był proboszczem, do niego więc na plebanię zajechali nasi wędrowcy, a pokrzepiwszy zwątlone podróżą siły i otrzepawszy z kurzu, udali się w stronę cukrowni.

Ksiądz Roman ofiarował się wprowadzić ich do Dyrektora, z którym żył w ścisłych stosunkaeh, i kiedy szli opowiedział im wiele o owym niemcu, który opuściwszy swój kraj był biednym bardzo, a dzisiaj ma już sporo grosza, i ciągle jeszcze przyrabia. Opowiedział iż w cukrowni jest kilku praktykantów, którzy płacą za naukę, i od świtu do nocy pracują; mówił, jak tam wszystko idzie porządnie i systematycznie, jaki ład wzorowy panuje. W miarę jednak jak ksiądz Roman mówił, twarz pani Markowej przybierała wyraz coraz smutniejszy, ponieważ serce matki przeczuło i zrozumiało, że w fabryce mniej niż gdzieindziej zważają na obywatelskie dzieci, i że jej synek będzie uważany na równi z każdym innym pracującym, bez względu na to, iż rodzice jego mają Wólkę, a wujaszek Sowie Głowy i stopień kapitana w armii Austryjackiej. Skutkiem tych rozmyślań, z pewnym niepokojem dotknęła klamki mieszkania dyrektora; lecz kość już była rzucona, cofnąć się nie wypadało.

Weszli wszyscy do elegancko umeblowanego pokoju. Za stołem zarzuconym księgami i rachunkami, siedziała figura szczupła, z orlim nosem i rudemi faworytami. Na widok przybyłych, jegomość ten podniósł okulary na czoło i wstał z fotela, zapytując wzrokiem czego żądają.

Ksiądz Roman podawszy mu rękę rzekł:

— Przedstawiam panu dyrektorowi moją kuzynkę i jej syna z Wólki...

Pan dyrektor skłonił się sztywno, i milcząc wskazał krzesło swym gościom.

— Mamy tu do pana dobrodzieja list, od pana Macieja mego sąsiada — rzekła pani Markowa podając pismo.

Dyrektor usiadł i czytał w milczeniu, po chwili zaś skończywszy czytanie—rzekł do pani Markowej wskazując na Czesia.

— Ten młody człowiek chce być u nas praktykantem. To dobrze. Mamy jeszcze dwa wakujące miejsca....

— Pani zna nasze warunki....

— Chciałabym — rzekła pani Markowa, żeby mógł jak najprędzej zostać dyrektorem.....

— No—rzekł niemiec—niech on się uczy, zostanie u nas trzy lata, pani będzie płaciła trzysta rubli za każdy rok, a on będzie miał stancyę, wikt i naukę. Pani zapłaci z góry za rok.

— Ale panie dyrektorze, chciałabym także żeby syn mój doznawał pewnych względów, jakie słusznie należą się....

— O tak—przerwał dyrektor—on będzie u nas robotnikiem, po trzech latach może dostać małą pensyjkę, on będzie mieszkał w fabryce, i ja przeznaczę mu zajęcie...

— Proszę pana łaskawego — odezwał się Czesio, a często będziemy chodzili na polowanie?—przecież tu macie zapewne las.

— O, my mamy tutaj różne rzeczy, mamy kotły, prasy hydrauliczne, mamy składy, ekspedyujemy mączkę, cukier, melassę—panu to się podoba, to bardzo przyjemne zatrudnienie. Mamy księgi, rachunki, korespondencye—pan się będziesz uczył rachunków i buchalteryi.

Czesio skrzywił się okropnie.

Pani Markowa wydobyła pieniądze, zapłaciła i Czesio został przyjęty jako praktykant do fabryki, w której od następnego dnia miał rozpocząć zajęcie.

Opuściwszy mieszkanie dyrektora, udano się do księdza Romana na obiad, a nad wieczorem matka oblała łzami ukochanego synka, i nastały długie godziny rozstania.

Czesio układał swoje ruchomości w skromnym pokoiku, który mu przeznaczono na mieszkanie, i długo nie mógł zasnąć, debatując nad tem, co mu jutro przyniesie.

Noc już była ciemna, a samotna matka płakała na bryce. Onufry siedział jakoś smutno na koźle, i rzekł po cichu do siebie:

— Pono to chleba z tej mąki nie będzie.

(*D. c. n.*)

ROZMAITOSCI.

Dzienniki florenckie *Nazione* i *Gazetta d'Italia* donoszą, iż towarzystwo lekarskie istniejące w tem mieście słuchało na jednem z ostatnich swoich posiedzeń sprawozdania p. Aleksandra Herzen z badań jego nad **sposobami przechowywania mięsa**, i z osiągniętych przezeń rezultatów. W sprawozdaniu tem powiedziano, że p. Herzen po wielu próbach wynalazł mięszaninę chemiczną zupełnie dla zdrowia nieszkodliwą, w której umaczane mięso przechowywać się daje w stanie pierwotnej świeżości przez czas nieogranienie długi.— Wołowina, zanurzona w tym płynie, trzymana przez przez dwa miesiące w ciepłym pokoju nie okazała najmniejszych nawet śladów zepsucia. Mięso z całego wołu przyprawione w ten sposób wysłał wynalazca do Buenos-Ayres, skąd napowrót odesłano je do Londynu w stanie pierwotnym, przyczem zachowało smak i kolor mięsa zupełnie świeżego. Inne doświadczenia równie pomyślnie się powiodły i jest pewna prawie nadzieja, że wyznaczona dla bliższego zbadania tego wynalazku osobna komisya, złożona ze specyalistów i osób kempetentnych, uzna pożyteczność odkrycia dokonanego przez pana Herzena. Wynalazek ten oprócz niezliczonych usług, jakie oddać może np. armiom w czasie wojny, oblężonym miastom, załogom okrętowym w czasie długich podróży morskich, szpitalom i zakładom dobroczynnym i t. p. musi wywołać obniżenie cen mięsa w Europie, dozwalając na sprowadzanie go z Ameryki, gdzie woły znajdują się w wielkich ilościach, i gdzie cena mięsa jest niesłychanie niską.

— W dniu 10 bieżącego miesiąca, przedstawiono w Krakowie na dochód pani Wolskiej, komedyą premiowaną na ostatnim konkursie krakowskim, napisaną przez pseudonima Jana Baptystę — a zatytułowaną: **Kupno i sprzedarz.** Komedya ta napisana z wielkim talentem i odtwarzająca może za zbyt jaskrawo ujemne strony galicyjskiego społeczeństwa, przyjętą była przez publiczność z wielkiem uznaniem. Po skończeniu widowiska, gdy wśród oklasków wywoływano autora, reżyser wszedłszy na scenę, wyjawił nazwisko p. Jana Zacharyasiewicza, znanego zaszczytnie powieściopisarza.

— W Anglii myślą o nowem dziele, które niedawno jeszcze za niepodobne do wykonania poczytywano—mianowicie projektują przeciąć Afrykę **olbrzymim kanałem**, który poczynając się od ujścia Belty ciągnąłby się na 740 mil angiel.—aż do wybrzeża Tombuktu.—Afryka środkowa leży o 250 stóp niżej od poziomu Atlantyku, od którego fal bronią ją tylko wzgórza nadbrzeżne—położenie to może być wielkiem ułatwieniem przy wykonywaniu tak olbrzymiego kanału.

DONIESIENIA.

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr. 57. Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**

DODATEK do Nr. 30-go „OGNISKA DOMOWEGO“.

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

AMELIĄ B. EDWARDS,

z angielskiego tłómaczona.

Tom pierwszy.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 29).

Dom każdego człewieka jest zawsze do pewnego stopnia odbiciem jego usposobienia. Chociaż stolarz i tapicer dostarczają mebli i gustu, można zawsze odkryć pewne wskazówki wykształcenia i skłonności właściciela. Z obecności lub braku obrazów na ścianach, książek na stołach, psów, ptaków, kwiatów, z laski nawet lub parasola stojących w przedpokoju, można wyciągnąć niejeden pouczający wniosek i nieraz zastąpić nim brak wiadomości. Gdyby więc wprawny jaki badacz znalazł się w Strathellan House (jak nazywano dom pana Hardwickie) znalazłby wszędzie, na pozór mało znaczące, ale pewne wskazówki na których mogłyby oprzeć zdanie swoje o właścicielu. Był to bardzo duży dom, jeden z największych i najokazalszych na Regent's Park, i bardzo wspaniale urządzony. Front wspierał się jak grecka świątynia na doryckich kolumnach, mieszkanie odźwiernego było w stylu gotyckim; zajazd dla powozów i oranżerya godne pałacu, sala balowa miała czterdzieści stóp długości, a ogród w guście włoskim zawierał staw obszerny. Z sieni zdobnej marmurowemi popiersiami dwunastu cezarów szerokie i wygodne schody prowadziły do pysznych salonów, których było trzy: jeden wybity żółtym adamaszkiem, drugi niebieskim atłasem, trzeci karmazynowym aksamitem, a wszystkie ozdobione ogromnemi zwierciadłami, oświetlone w wieczór kryształowemi pająkami i pełne złoconych mebli, florenckich mozajek, bronzowych zegarów, obrazów w bogatych ramach, i innych kosztownych gracików sprowadzonych ze wszystkich części świata. Ale nie było nic starożytnego, nic coby miało wartość inną jak wysoką cenę. Nie znalazłeś tam dzieł dawnych mistrzów, cennych majolików, emalii, wyrobów Benwenuta Cellini i jego naśladowców, kamei, wykopalisk z Pompei; wszystko było nowe: obrazy, bronzy, porcelany i rzeźby. Stół malachitowy odznaczał się na międzynarodowej wystawie z roku 1851, marmurowy posąg w framudze na końcu trzeciego salonu był dziełem Marochettego; gobeliny były najnowszym wyrobem cesarskich warsztatów. Jednem słowem, wszędzie było znać pieniądze; nie brakło jednak dobrego smaku, ale nie tego najlepszego, wysoko wykształconego, który podobnie jak piękne ręce i płeć delikatna zdaje się być szczególnym udziałem pewnych tylko warstw społeczeństwa. Pan Hardwicke nie miał też żadnego prawa do tego rodzaju dziedzictwa. Urodzony w City, i przeznaczony do pędzenia w niej swego żywota, przeniesiony w dziewiętnastym roku z Hawru do ojcowskiego kantoru, i od tego czasu, oddychający atmosferą kupiecką, mógł się słusznie szczycić, że znał i lubił rzeczy będące ozdobą życia. Trzeba jednak w tem wszystkiem, mieć także wzgląd na gust i na wpływ panny Hardwicke, bo w domu pana Hardwicke, wpływ jej był wszechmocnym.

Była to jego najmłodsza, a teraz jedyna siostra, piękna, dumna, okazała, rządząca po królewsku domem brata, od chwili kiedy powróciła z pensyi w Paryżu, gdzie się wychowała. Podwójnie bogata, bo dwa na nią spadły majątki, matki i stryja, dawnego aldermana i lorda majora; dumna, lecz nie ze swej piękności, ani ze swego majątku, bo pogardzała bogactwami zdobytemi za pomocą handlu, i pięknością nie wypływającą ze szlachetności krwi; ambitna, namiętnie pragnąca dostojeństw, towarzyskiego znaczania, władzy byle jakiej; zimna w obejściu, zimniejsza jeszcze w słowach; w milczeniu przyjmująca swych gości; obojętna kiedy się u drugich znajdowała— Klaudya Hardwicke mogła się pochwalić, że była serdecznie nienawidzoną przez większą część znajomych swego brata. Czuła głęboką odrazę dla wszystkich znakomitości z City, dla ich żon, córek, zabaw, rozmów, towarzystwa i wszystkiego co ich było, i bynajmniej nie starała się ukrywać tej odrazy. Siedząc obok pani Aldermanowej Butterworth, rozmawiała przez cały obiad, po francusku albo po niemiecku, z trzecią osobą, zupełnie na nią nie zważając, jak gdyby ta szanowna matrona była tylko kołkiem okrytym aksamitem i brylantami. Na wieczorach wydawanych u siebie, umyślnie zapominała o talencie panien Jenkinson, (chociaż rzeczywiście dobrze śpiewały i posiadały po siedemdziesiąt tysięcy funtów sterlingów, każda), i zawsze sprowadzała sławnych artystów. Na wielkich zgromadzeniach, gdzie wszystkie panie współzawodniczyły między sobą bogactwem strojów, ukazywała się w najskromniejszem ubraniu jakie magła wymyśleć najlepsza modniarka, najwykwintniejszym obdarzona smakiem. Dla tych wszystkich powodów i dla wielu innych, i dlatego, że będąc kobietą rozumną, wiedziała doskonale gdzie i jak ugodzić dowcipem,— panna Hardwicke mogła liczyć na setki swoich nieprzyjaciół, i nie martwiła się swoją niepopularnością.

Pomimo tej pogardy dla ludzi i rzeczy, panna Hardwicke, należąc do rzędu śmiertelników, miała także swoje słabości. Jeżeli jej duma miała swoję wzniosłą stronę, miała też i drugą, niższą. Prawdę powiedziawszy, nie było dla niej nic powabniejszego nad lorda. Tytuł, tarcza herbowa na drzwiczkach od karety, stanowisko w wielkim świecie, oto za czem wzdychała. Uważała je nie jako cień marny, ale jako ponętną rzeczywistość, choć może było jej przeznaczeniem poznać, że były właśnie tylko urojonym cieniem.

ROZDZIAŁ V.

Wieczór w Strathellan House.

Owinięty w szeroki płaszcz, zdobny według mody niemieckich studentów, mnóstwem guzików i pętlic, Temple Debenham, o godzinie oznaczonej, wszedł do sieni Strathellan House. Noc była bardzo ciemna, sień zaś rzęsisto oświetlona, przez chwilę więc zupełnie był olśnionym, znalazłszy się w obecności dwunastu Cezarów i lokai pana Hardwicke. Przyszedł piechotą, jak zdradzał kurz na jego butach, niósł w ręku zwój nut i zatrzymał się w sieni, żeby włożyć białe rękawiczki. To też dwunastu Cezarów i bliźni olbrzymi w liberyi, spojrzeli na niego pogardliwie. Widzieli nieraz podobnych przybyszów i wiedzieli czem byli.

— Przyszedł grać na fortepianie, szepnął Tomasz do Jana.

— Biednie wygląda— odpowiedział Jan— ale bywają bogaci i ubodzy pomiędzy niemi, jak pomiędzy inymi ludźmi. Ostatni co tu był, przyjechał w swojej karecie jak pan jaki.

Powóz pełen dam, zatrzymał się u drzwi, organista udał się na górę, i niezameldowany, wszedł do pierwszego salonu.

Był to obszerny pokój, świetnie umeblowany, ale prawie pusty. Kilku mężczyzn tylko przed kominkiem, i młoda jakaś osoba siedziała na boku, przy stoliku przeglądając książkę z rycinami. Słychać było liczne głosy w dalszych pokojach, ale młody człowiek nie miał ochoty dalej się zapuszczać. Panienka siedząca przy stoliku podniosła głowę na chwilę, ale panowie, zajęci swoją rozmową, zdawali się nawet nie zważać na przybycie nowego gościa. Temple Debenham zatrzymawszy się trochę przy drzwiach, przysunął się do stolika, i trzymając się jak najdalej od siedzącej tam już młodej osoby, szukał także ratunku w książce.

Nie będąc jeszcze zaanonsowanym i przyjętym, niechciał usiąść, ale trzymając w ręku swoje nuty, nachylił się nad książką zniecierpliwiony i obrażony. Widział, jak do pokoju na dole wprowadzono panie po nim przybyłe, gdzie im podano herbatę. Dlaczego z nim tak nie uczyniono? dlaczego przynajmniej, jeden z lokai nie poszedł z nim na górę i nie zameldował go przy wejściu? Czy wiedzieli kim był? czy ich nauczono z takiem lekceważeniem z nim sobie postępować? Pomyślał, że gdyby tak było, gdyby z pewnością o tem wiedział, zeszedłby w tej chwili, i nie przestąpiłby więcej progu tego domu.

Właśnie wtedy jeden z bliźnich olbrzymów ukazał się we drzwiach, wołając z całej siły płuc imiona pani Blower, panny Blower, panny Julianny Blower i panny Bianki Blower, i cztery panie które organista spotkał na dole weszły uroczyście. Pan Hardwicke w tej samej chwili wyszedł z drugiego salonu, żeby je przyjąć, ścisnął za rękę panią Blower, ukłonił się po kolei każdej z jej córek, dopytywał się troskliwie o zdrowie różnych nieobecnych Blowerów, i nareszcie, podawszy rękę pani Blower, wprowadził ją z całą rodziną do dalszych salonów, gdzie towarzystwo zdawało się licznie zebrane.

Chmura, która osiadła na czole Debenhama, stała się czarniejszą jeszcze. Zdawało mu się że pan Hardwicke, wychodząc, spojrzał na niego, a jeżeli go widział i nie przywitał się z nim, było to jeszcze gorzej, niż gdyby go ani widział ani przywitał.

— Jeżeli mnie widział, pomyślał, musiał mnie poznać, a jeżeli mnie poznał, obowiązkiem jego było, powitać mnie w swoim domu. Przypomniał sobie, że się pytał Arcybalda Blyth, jak go będą uważać, jeżeli przyjdzie, i że Arczy zaręczył, iż będzie przyjętym i uważanym jak inni goście; ale powinien był niewierzyć tym słowom, powinien był wiedzieć, że przyszedłszy do domu tego człowieka za pieniądze, za dziesięć nędznych funtów, sprzedał się na ten wieczór i stał się jego najemnikiem.

— Najął mnie, pomyślał, patrząc się w książkę, która zdawała się głęboko go zajmować. Jestem na dzisiaj jego sługą, i jak z niewolnikiem sobie ze mną postępuje.

Tak rozmyślając, Temple Debenham doszedł do takiego stopnia oburzenia, że chciał już zamknąć książkę i opuścić dom pana Hardwicke, gdy uczuł rękę na swojem ramieniu, i dobrze znajomy głos zawołał.

— Cóż, przyjacielu, czy podobna?

— Podobna! powtórzył, co ma być podobne?

— To przecie.

I Arczybald Blyth wyperfumowany, ufryzowany lśniący od złota, wskazał palcem fotografią, nad którą właśnie przyjaciel jego był nachylony.

— Czy to ty masz być? zapytał Debenham,

bo chociaż na pozór pogrążony w swej książce, nie wiedział nawet że ogląda fotografie.

— Wszyscy znajdują, że doskonała.

— A ta?

— Horacyusz Slawkins, syn Sir Obedyasza Slawkins, Lorda Majora temu lat kilka, i pasowanego na rycerza, niewiem doprawdy dlaczego. Całe pokolenie Slawkinsów będzie tu powno dzisiaj. Czy dużo jest osób w tamtych pokojach?

— Nie wiem, odpowiedział Debenham; nie byłem tam.

— Widziałeś moich kuzynów?

— Pan Hardwike był tu właśnie żeby przyjąć jakieś panie, a chociażbym zobaczył pannę Hardwicke, nie poznałbym jej.

— Oto jej fotografia, nie tak piękna jak ona naturalnie, ale jednak podobna.

— Wcale nie piękna podług mnie, odpowiedział organista, który się nie czuł w usposobieniu uwielbiającem.

— Nie powiesz tego, gdy zobaczysz oryginał. Rysy jej są dosonale regularne i ma postawę królowej.

— Tak, królowej z teatru.

— Nie, ona nic nie udaje, to wszystko duma i duma bardzo rzeczywista. Piłka z gumy elastycznej, ma więcej od niej serca.

Goście coraz liczniej przybywali; udawali się po większej części do dalszych salonów, i stamtąd, po trochu powracali do pierwszego. Byli to w ogóle kupcy, agenci bankowi, aldermani z żonami i rodzinami, a pomiędzy niemi przesunął się czasem jaki bankier z arystokratycznej dzielnicy miasta albo tytułowany dyrektor kolei żelaznej.

Arczybald Blyth, dumny ze świetności Strathellan House i z bogactw swych krewnych, został przy przyjacielu, wskazując mu gości, kłaniając się niektórym, lub rozmawiając z niemi, i czasami spoglądając z ukosa na artystę, aby się przekonać jak dalece go zachwycił.

— Oto stara Lady Tuke, szepnął z żywością, żona Sir Ilomana Tuke, członka parlamentu, a ten mały czarny człowieczek, który z nią mówi jest to Abrahams, Jafet Abrahams, wspólnik domu Abrahams i Gabryel, mający przynajmniej dwa miliony i pół majątku. Para teraz wchodząca są to państwo Biddle; on będzie przyszłym Lordem Majorem; ona była wdową po Aldermanie Sharples, ogromnie bogata, piękna kobieta i umie się ubierać. Nie co dzień się zdarza widzieć takie brylanty, nieprawda, Oreście mój? A, otóż pan Choakes, twój pastor. Dlaczego mu się nie ukłonisz.

— Jest pastorem kościoła Ś-tej Hildegardy, a ja tylko organistą, odpowiedział Debenham, prostując się, niech się pierwszy ukłoni jeżeli mu się podoba.

Ale wielebny Tobiasz Choakes przeszedł pogrążony w głębokiem zadumaniu, nikomu się nie kłaniając.

— Teraz idzie Washington Flack, zawołał Arczy. Szczególny człowiek, Amerykanin, jest korespondentem dziennika *Transatlatycki Eksterminator*; wszędzie bywa, wszystko wie, wszystkich zna. Czy chcesz żebym cię jemu przedstawił.

Debenham nie miał ochoty zaznajomić się z człowiekiem, który wszędzie bywał, wszystko wiedział i wszystkich znał, i sławny Amerykanin ukłoniwszy się Arczybaldowi Blyth znikł uniesiony przez fale przechodzących gości.

Godzina przeszła tym sposobem, a Temple Debenham nie przestąpił jeszcze progu dalszych pokoi, ale pierwszy salon, był teraz równie ludny i gwarny jak dalsze. Zdawało się że goście znają się wszyscy pomiędzy sobą, bo rozmawiali poufale, jak ludzie mający wspólne interesa, zajęcia i nawyknienia.

Młody człowiek stał trochę na boku, przyglądając się ciekawie tej galeryi znakomitości mieszczańskich. Urywki różnych rozmów dolatywały jego ucha: powitania, najświeższe miejskie ploteczki, ceny papierów publicznych, wysokość eskonty bankowej, pożyczka grecka, stan targu pieniężnego, zawieszenie wypłat przez bank Anglo-Abisyński, pogłoski o bankructwie domu Clint i Clutterbuck, stan rzeczy w Ameryce, handel bawełną i t. p. A ciągle mowa tylko była o pieniądzach i pieniądzęch.

— Powiedz że mi, Debenhamie, rzekł jego przyjaciel, niezadowolony obojętnością, z jaką artysta na wszystko spoglądał, czy widziałeś kiedy coś podobnego w Niemczech?

— *Coś* podobnego? powtórzył Debenham, z dziwnym naciskiem na pierwsze słowo.

— Tyle brylantów, takie stroje, takie bogactwa. Jest tu teraz przeszło trzsta osób, i nie zdaje mi się, żeby między niemi można znaleść pięćdziesięt którzeby nie były bogate, i nawet bardzo bogate.

— Rozumiem. Majątek ma tutaj znaczenie jakie miało stanowisko w Zollenstrasse. Tu pieniądz zajmuje miejsce pargaminu; złoto stanowi wartość człowieka, a rachunek u bankiera jest jego patentem na szlachcica. Inne czasy i kraje— inne obyczaje.

— Wolałbym być bogatym angielskim kupcem, jak zubożonem książątkiem niemieckiem, odpowiedział mieszkaniec City nawpół rozgniewany.

W tej chwili Debenham usłyszał obok siebie, następujące słowa, wymówione nie głośno, ale dziwnie wyraźnie.

— Czas już, żebyśmy usłyszeli trochę muzyki. Gdzież jest ta doskonałość wychwalana przez Arczybalda?

Odwrócił się i ujrzał przed sobą pana Hardwicke, a przy nim młodą osobę.

ROZDZIAŁ VI.

Panna Hardwicke.

Debenham nie potrzebował, żeby mu mówiono, iż tą młodą osobą była panna Hardwicke. Gdyby nawet nie widział jej fotografii, poznałby ją po opisie Arczybalda. Fotografia wprawdzie krzywdę jej wyrządziła, ale opis był zupełnie wierny. Rysy miała doskonale regularne i postawę królowej. Piękność jej była nadzwyczaj rzadką i wspaniałą, klasyczną i spokojną. Nie była jednak klasyczną podług zwykłego pojmowania tego wyrazu, gruntującego klasycyzm na wyobrażeniu o piękności, opartem na greckim ideale, ale klasyczna według rzymskiego typu, prawdziwego i rzeczywistego; typ to raczej wyniosły niż ujmujący względkiem, prędzej duchowy niż zmysłowy, wyrażający w najwyższym stopniu powagę, stanowczość i siłę; zachowujący od początku do końca, zarówno w swym upadku, jak za najświetniejszych czasów, pomimo wpływu greckiej sztuki, wzniosłe i uderzające cechy etruskiego pochodzenia.

Taką była piękność Klaudyi Hardwicke. Gdyby laseczka złośliwego czarownika zamieniła ją była w marmur, mogłaby uchodzić za prześliczny wzór sztuki z czasów Augusta. Głowa, szyja, zaokrąglenie ramion, doskonałe i pełne kształty całej jej osoby, mogły być przeobrażone w marmur i nie potrzebować ogładzenia dłuta snycerskiego. Ramię i ręka odznaczały się szczególnie doskonałością formy.

Opisawszy kształty posągowe panny Hardwicke, żeby sprawiedliwie ocenić piękność jej twarzy, musimy się znowu odwołać do tego rzymskiego typu, o jakim już wspominaliśmy. Rysy jej doskonałe, nie miały nic wspólnego z rysami Nioby albo Wenus medycyjskiej, ale miały uderzające podobieństwo do jednego z najpiękniejszych wzorów sztuki rzymskiej, znajdującego się w galeryach Luwru, do posągu Julii Domny, żony Septyma Sewera. Nigdy majestatyczniejszego wizerunku nie stworzono z marmuru. Piękna, prawdziwie cesarską pięknością, jaka przystoi żonie i matce Cezarów, stoi z głową lekko naprzód pochyloną, jakby dźwiękom jakim się przysłuchując. Jedną ręką zdaje się tylko co odrzuciła zasłonę, druga i cała postawa starannie są okryte draperyami. Jest wyższą od ogółu wszystkich kobiet. Czoło ma niezbyt wysokie, lecz o tyle tylko, o ile potrzeba, żeby nadać twarzy wyraz duchowy, i owal przedziwny. Nos mały, delikatny, lekko garbaty, odstępuje od surowych linii greckich, oczy są długie i myślące, usta drobne wyrażają łagodność i stałość; broda mała ale wydatna, jest jakby lekko nacięta pośrodku. Niewysłowiona powaga, skromność, spokój tchną z każdego szczegółu tego wybornego dzieła sztuki, a najsubtelniejszy żywioł arystokratyczny, przelany w marmur, nadaje mu pozór szczególnie patrycyuszowski.

Do tej to statui rzymskiej cesarzowej, która żyła, grzeszyła i umarła przeszło szesnaście wieków temu, panna Hardwicke była tak dziwnie podobną, że opis jednej jest wiernym portretem drugiej. Profil był ten sam i rysy zupełnie były podobne, niektóre podrzędne różnice istniały naturalnie, i łatwo byłoby je odkryć, gdyby posąg starożytny i żyjąca kobieta stanęły obok siebie. Podobieństwo to było tak rzeczywiste i niewątpliwe, że można było wziąć popiersie panny Hardwicke (modelowane przez florenckiego artystę, i stojące w jadalnej sali w Strathellan House, pod osłoną czerwonych aksamitnych firanek) za kopią posągu Julii Domny w Luwrze. Była to ta sama królewska powaga, ale duma większa może, bo brakowało tej samej łagodności. Panna Hardwicke nie posiadała ujmującego wdzięku rzymskiej cesarzowej, godność jednej stawała się pychą u drugiej, skromność przemieniała się w pogardę, spokój w lodowatą oziębłość. Mówiła, chodziła, uśmiechała się jak gdyby żaden śmiertelnik nie był godzien dotknąć się jej szaty. Piękność i postawa jej były tak dumne, że można było myśleć, iż z cesarskiego pochodziła rodu, lub jak Cezar liczyła boginie w rzędzie swych antenatów.

A jednak, wcale nie arystokratyczna krew płynęła w żyłach Hardwicków. Od czterech pokoleń byli kupcami i trudnili się handlem; sięgnąwszy wyżej, można było tylko spotkać nicość. Panna Hardwicke wiedziała, że jej dziad był stolarzem, i że swoje rzemiosło odziedziczył po ojcu Amosie Hardwicke. Z kim się ten Amos ożenił, kto byli jego rodzice, gdzie był pochowany, były to wszystko rzeczy o jakich w rodzinie nie zostało nawet podania. Genealogia Hardwicków nagle się na nim urywała, i on nawet, Amos Hardwicke, był tylko imieniem, jakby cieniem błąkającym się na początku osiemnastego wieku i mającym nicość po za sobą. Tam jednak gdzie wszystko jest nieznane, wszystko także jest możliwe, przynajmniej w genealogii, i dumna Klaudya Hardwicke, któraby chętnie oddała swój majątek za dawne i starożytne imię, przypuszczała czasem, że pochodziła może z Duńskich Wikingów, albo że oddziedziczyła swoję piękność po rzymskich przodkach, kiedy Rzymianie rządzili Brytanią. Ale były to tylko przypuszczenia, o jakich marzyła czasami, żeby je następnie pogardliwie odrzucić w tę nicość z jakiej powstały.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr. 57.

Дозволено Цензурою.